

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 5 (176)

LUBIN

2025 r.



**Fragment zamku w Świrzu spalonego przez wojska rosyjskie we wrześniu 1914 r. Fotografia z 1915 r.
Ze zbiorów Biblioteki Narodowej.**

Szanowni Krajanie,



o wielu latach ociągania się Ukraina wreszcie wyraziła zgodę na ekshumacje. Karolina Romanowska, przewodnicząca Stowarzyszenia Pojednanie Polsko-Ukraińskie przekazała, że 4 kwietnia 2025 r. przystąpiła na poszukiwanie ofiar rzezi wotyńskiej grobów w Uglach (w powiecie sarnieńskim). Przez 3 lata Romanowska stała prywatnie listy do ukraińskiego IPN-u, a nawet do prezydenta Ukrainy o to pozwolenie. Odpowiednie prace miały się rozpocząć w maju tego roku.

- To ważny krok w stronę pamięci i pojednania - dodała. Natomiast Radosław Sikorski określił te wiadomości jako „nareszcie dobrą”.

Tymczasem Alina Charfamowa, która będzie nadzorowała prace z ramienia ukraińskiej fundacji Wotyńskie Starożytności, poinformowała, że 24 kwietnia 2025 roku rozpoczną się ekshumacje polskich ofiar w Pużnikach w obwodzie tarnopolskim, gdzie według wspomnień mieszkańców w grobach może znajdować się szczątki prawie 80 ludzi. Dziś wiadomo, że znaleziono tam tylko 46 szkieletów ofiar, a inne ofiary znajdują się w innych miejscach.

W pracach w Pużnikach uczestniczyło siedmioro przedstawicieli ukraińskiej fundacji Wotyńskie Starożytności. Ze strony polskiej w badaniach wzięli udział m.in. przedstawiciele pomorskiego oddziału IPN oraz fundacji Wolność i Demokracja. (na podstawie www.interia.pl z 4 kwietnia 2025 r.)

Życzę przyjemnej lektury i zapraszam do współpracy.

Lubin, sierpień 2025 r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 176

Str.

3. Kartka z pamiętnika. L. Cyganik. Słodkie i kwaśne odcienie życia (VIII).
14. J. Tarnawski. Głos Ojczyzny.
15. Dlaczego St. Bandera nie może być bohaterem narodowym Ukrainy?
17. J. Kotrymowicz. Tragedia w Glinianach (I).
26. Wspomnienia Żydów (J. Birkenfeld, R. Einseistein).
32. Szkoły w powiecie przemysłańskim (1896 r.).
35. Wydarzenia z pow. Przemysłań podane w *Kurierze Lwowskim* (VI).
43. B. Kopociński. Sen kota.
44. J. Wyspiański. Rozbójnicy wtedy spali.
46. Listy do redakcji.
48. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Red. Poniższy tekst jest fragmentem książki Leopolda Cyganika o tytule „Słodko-gorzkie życie Kresowianina”, która ukazała się w 2020 r. Niektóre fragmenty, ze względu na drastyczną treść zostały przez redakcję usunięte. Poprzedni odcinek wspomnień ukazał się w numerze 172.

Leopold Cyganik

Słodkie i kwaśne odcienie życia (cz. VIII)

Z drugiej strony krat

Praca oczywiście była niezwykle ciekawa. Poza normalnymi obowiązkami lekarza w szpitalu, polegała także na orzekaniu sądowo psychiatrycznym w sądzie. Nie do końca zarzucałem pracę z alkoholikami. W późniejszym czasie utworzyłem oddział odwykowy w pomieszczeniach przyległych do szpitala w areszcie. Ale zanim zrealizowałem ów projekt, minęło trochę czasu. Fakt, że w ogóle po odsiadce przyjąłem pracę w takim miejscu, było odwagą. Codzienne towarzystwo „klawiszy” i oglądanie świata zza krat nie sprzyjało mojemu samopoczuciu. Jednak gdy już przywykłem od tego, że przecież jestem tu w innym charakterze niż wtedy gdy byłem młodym chłopakiem, praca stała się jeszcze bardziej interesująca.

Przedemną przez wiele lat dyrektorem szpitala był doktor Katzen Elenbogen [1] – stary Żyd, który był niezwykle inteligentnym i mądrym człowiekiem. Znałem jego żonę, która była adiunktem u profesora Baranowskiego. To ona stała się pierwszym kierownikiem nowego wówczas wydziału biochemii na Uniwersytecie Wrocławskim. Mimo że tak naprawdę tuż przed objęciem przeze mnie dyrektury, w szpitalu przy areszcie dowodził inny lekarz - Edward Skoczek, za mojego bezpośredniego następcę należy jednak uznać doktora Katzena Elenboga, bowiem Skoczek wytrzymał jako dyrektor „całe” trzy miesiące. Nie jestem pewien, czy

[1] Nie wiadomo, czy dyrektor szpitala nosił nazwisko Elenbogen czy Katzenellenbogen. To drugie nazwisko jest związane z rodziną znanego psychiatry ze Stanisławowa, Edwina Katzenellenboga. Dop. J. W.

przypadkiem to on właśnie, po tym jak dowiedział się, że rezygnuję z dyrektury w Czarnym Borze, nie zainteresował moją kandydaturą władz areшту. Moja kadencja jednak trwała aż cztery lata.

Katzen Elenbogen był świetnym psychiatrą sądowym. Dbał o doszkalać się lekarzy i personelu pielęgniarskiego. Jako dyrektor szpitala był zatrudniony na stanowisku pułkownika SB [*Służby Bezpieczeństwa*]. Zgodził się na to... takie były czasy. W każdym razie to on utworzył ów szpital. W roku 1968, kiedy Gomułka postanowił wyrzucić Żydów z Polski, jego także w podły sposób usunięto ze stanowiska. Doktor Skoczek objął je „na zaproszenie”. Ale nie wytrzymał. Natomiast Katzen Elenbogen otrzymał pracę... na Gdańskiej.

Pierwsze co mnie uderzyło w nowej pracy, to fakt, że mój pacjent stoi twarzą do ściany. Nikt też nie zwracał się do pacjentów per „pan”. Uważałem, że jeśli mam do czynienia z ludźmi naprawdę wymagającymi pomocy (a potem okazało się, że tak było), muszę być dla nich lekarzem, a nie kolejnym klawiszem. Aby zmienić więzienne zwyczaje, musiałem także zmienić personel. Zatrudniłem więc psychiatrów z zewnątrz: Artura Sochackiego, Jana Lisowskiego, którego ściągnąłem z Lubiąża i zgodziłem się na powtórne przyjęcie Edwarda Skoczka. Ten ostatni miał pewne koneksje z naczelnikiem, przez co liczył na mieszkanie z puli domów dla pracowników areшту. Zrezygnowałem też z usług kilku lekarzy na dziwnych ułamkowych etatach, którzy raz pojawiali się w pracy raz nie, robiąc sobie z nich kolejnych już nieprzyjaciół. Ale nie miałem wyboru, chciałem mieć zespół. Nie mogłem oglądać się na zatrudnienie przez „zasiedzenie”. Musiałem się przyjrzeć uważnie całemu personelowi medycznemu, także pielęgniarkom, a nawet salowym, choć ten przeważnie składał się z najętych więźniów. Żaden z nas lekarzy czy pielęgniarzy nie był zatrudniony jako funkcjonariusz. Każdy był na tak zwanym etacie cywilnym.

Szpital przy areście był zbudowany w sposób zgoła niefunkcjonalny. Po moim objęciu stanowiska dyrektora zastałem tam przede wszystkim dwie wielkie sale, z których jedna była przejściowa. Personel pielęgniarski był zamykany na noc wraz z więźniami na owych salach. Na parterze znajdowała się izolatka oraz pomieszczenie do unieruchamiania agresywnych pacjentów. Jeśli pacjent naraził się funkcyjnemu salowemu, przywoływano go do porządku, szorując ryżową szczotką.

Będąc dyrektorem w areście, postanowiłem zmienić kilka rzeczy. Pierwszą, która mi się nie podobała, to dwie mniejsze sale liczące dwóch,

czy trzech więźniów, oraz dwie po dwadzieścia osób (!). To było nie do pomyslenia, by tak zróżnicowani pod względem schorzeń pacjenci przebywali tłumnie, wszyscy razem na dwóch ogromnych i jeszcze połączonych ze sobą salach. Kolejną sprawą był fakt, w jaki traktowano więźniów-pacjentów. Fatalnie i brutalnie obchodził się z nimi nie tylko personel szpitala czy więzienni kławiszze, ale i więźniowie funkcyjni - sprzątający, podający jedzenie i tak dalej. Jeśli któryś z moich pacjentów „sobie zasłużył”, na porządku dziennym zamykało się go w izolatce – ciemnym pomieszczeniu, w którym nie można było ani porządnie usiąść ani stanąć. Trzymało się go tam przez kilka dni. Innym sposobem karania były pasy. Polegało to na tym, że delikwenta przypinano pasami ręce, nogi, brzuch i szyję do łóżka. W pasach nie można się ruszać. Do tego trzeba je umieć zakładać, na co zwracałem szczególną uwagę kiedy pacjenta naprawdę trzeba było nimi spętać. Były to sytuacje rzadkie, dużo rzadsze niż powszechnie bezsensownie stosowana praktyka. Byłem na to bardzo uczulony, gdyż za mojej kadencji zdarzyło się, że ktoś z personelu, źle zakładając pasy, spowodował u więźnia niedowład ręki. Poza tym nigdy nie uważałem tej metody za skuteczną i dobrą.



Budynki
aresztu.
Źródło:
www.gazeta.wroclawska.pl

Obserwacja pracowników była dla mnie równie ważna, co praca z pacjentami. Większość z osób pracujących w tym specyficznym miejscu miała swoje nawyki, nie zawsze zgodne z etyką medyczną. Zanotowałem interesującą zależność. Zdarzało się bowiem tak, że na tych dwóch bez-

sensownie dużych salach, jednej nocy rozrabiała jedna część więźniów, innej zaś druga część. Odkryłem, że wzmożona aktywność pacjentów zależy od tego, jacy pielęgniarze zostają z nimi na dyżurze. Pracownicy mieli wśród więźniów swoją grupę podopiecznych. I zależnie od zespołu medycznego, który pilnował więźniów nocą, ta właśnie uprzywilejowana grupa czasem pozwalała sobie na zbyt wiele. Niestety pielęgniarze godzili się na tę aktywność w zamian za to, że faworyzowani więźniowie pilnowali pozostałych, przez co personel mógł się zdrzemnąć. Bardzo, ale to bardzo mi się to nie podobało. Była to kolejna rzecz, którą należało natychmiast zmienić.

Wiązało się to z rewolucją i polegało między innymi na przebudowaniu szpitala. Z dwóch sal zrobiłem cztery, po sześć łóżek w każdej. Personel, zamknięty w dwóch przejściowych celach, został przeniesiony na przedłużony korytarz, dzięki czemu to on sprawował kontrolę, a nie miał kontrolę nad sobą. Izolatkę na dole oraz salę z pasami chwilowo unieruchomiłem. Zlikwidowałem też zwyczaj mówienia do pacjenta per „wy”, zmieniając go na formę grzecznościową, oraz więzienne stawianie pacjenta pod ścianą, jak na pawilonie. Lekarze szybko przyjęli nowe zasady. Z pozostałą częścią personelu było nieco trudniej. Ale wkrótce nawet klawisze zaczęli chodzić w fartuchach.

Zwyczaje w areszcie były dość specyficzne. U naczelnika piło się prawie codziennie. A ja raczej nie piłem, co poniekąd bardzo przeszkadzało. Nie oznacza to, że ani razu się nie napiłem – nie próbowałem kreować się na „świętego”. Naczelnik uważał, że go lekceważę jako szefa (nie pijąc z nim wódki...). Przez jego gabinet przewijały się znaczące osoby z prokuratury, sądu, czy milicji. Sporadycznie więc bywałem tam i ja. Zazwyczaj gdy miałem coś do załatwienia z naczelnikiem. A wtedy trudno było wykręcić się od wypicia symbolicznego kieliszka.

Orzecznictwo sądowe było wygodne dla wymiaru sprawiedliwości. Lekarz był na miejscu i tutaj orzekał bez potrzeby transportowania więźnia do różnych placówek. Z kolei nam też było łatwiej, bo pacjenta mieliśmy zawsze na miejscu. Często też bywaliśmy na sali sądowej by orzekać, co znacznie skracało czas rozpraw i przyspieszało procedury. Pacjentów przyjmowałem na podstawie wglądu do akt oraz ankiety opracowanej przez mojego poprzednika, wypełnianej przez wychowawcę lub kogoś z personelu białego. Jeśli na jej podstawie uznałem, że więzień wymaga obserwacji, przyjmowałem go na oddział.

Mój dzień pracy wyglądał następująco: (areszt znajdował się i wciąż znajduje przy ulicy Świebodzkiej 1, „a”, choć większość osób podaje, że na ulicy Sądowej. A to błąd.) na początku przechodziłem przez wartownię, gdzie otrzymywałem swoje klucze. Wchodziłem do korytarza administracji. Stamtąd kolejny strażnik wpuszczał mnie na pa-wilon. Z pawilonu, już własnymi kluczami otwierałem korytarz, w którym mieściły się laboratoria, a następnie korytarz szpitalny. Ale do sali, w której znajdowali się pacjenci, klucze miał oddziałowy funkcjonariusz.

Pacjenci, którzy przebywali w moim szpitalu, mieli głównie wysokie wyroki. Kilka ze spraw, które dostałem, do tej pory uważane są za te „słynne”, między innymi matkobójstwo, czy zabójstwo popełnione przez milicjanta przy moście Trzebnickim od strony osiedla Polanka. Ale miałem też takich więźniów, których odesłałem na leczenie wolnościowe, czyli na zwolnienie warunkowe. Wielokrotnie orzekałem w sprawach, co do których byłem pewien, że wyrok został wydany na osobę chorą psychicznie. Takie orzeczenia niosły za sobą ogromny ciężar, przede wszystkim odpowiedzialności. Podczas mojej kadencji wydałem kilkadziesiąt podobnych orzeczeń. Moi poprzednicy ostrożnie podejmowali podobne decyzje, przez co wysyłali do szpitali wolnościowych nie więcej niż kilku pacjentów rocznie. Ja byłem jednak pewien, że mam rację, a osoby, których dotyczą moje orzeczenia są chore psychicznie. Mimo że przekazanie skazanego wyrokiem sądowym do szpitala wolnościowego wymagało wiele wysiłku, orzeczenie wydane przez komisję składającą się z lekarzy psychiatrów wielokrotnie upoważniało sąd penitencjarny do zwolnienia z więzienia i przekazania pacjenta do placówki poza więzieniem. A to każdemu było na rękę. I właśnie ten fakt uważam za swoje największe osiągnięcie na tym polu.

Dlaczego przez ten cały czas nie zdarzyło mi się, żeby sąd odrzucił któregoś z moich pacjentów? Ponieważ zawsze byłem na sali sądowej i referowałem każdy przypadek. Rzetelnie przygotowywałem się do posiedzeń, podczas których wykazywałem choroby psychiczne u więźniów nie podlegające dyskusji. A że tacy chorzy psychicznie więźniowie w normalnym rygorze penitencjarnym byli bardzo uciążliwi, sądy chętnie wydawały postanowienia o przekazaniu ich do dalszego leczenia poza więzieniem. Pamiętam, że przekazałem kiedyś pewnego Ukraińca – schizofrenika z defektem, który nikomu nie wadził. Był tak „wytresowany”, że gdy otwierało się cele on stawał na baczność i meldował się. Nie przes-

kadzał nikomu przez piętnaście lat, aż w końcu trafił do mnie.

Po obserwacji wysłałem go w końcu na leczenie do Stronia Śląskiego (po tym jak otrzymał przerwę w odbywaniu kary). Po pół roku ów człowiek trafił do mnie z powrotem. Okazało się, że moi „uczeni koledzy” uznali, że jego stan uległ poprawie, dzięki czemu mógł dalej odbywać karę. Nie wiem, na jakiej podstawie tak go pozytywnie zdiagnozowano. Ukraińiec był taki, że jeśli dano mu miotłę i pokazano jak sprzątać, zamiatął, póki mu nie przzerwano. Może na tej?

ZASWIADCZENIE 016435/u/104/92 Cyganik (Nazwisko) Leopold (Imiona) 09.07.1932. Lwów (Data i miejsce urodzenia)  podpis posiadacza zaświadczenia	 URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. nr 17 poz 75).  05.02.1992 Data DYREKTOR Zespołu Prawo Represjonowanych Podpis mgr Witold Braun
--	---

Pierwszy dokument przyznający mi status weterana.

Kilka takich mądrych głów było psychiatrami w Polsce. Jeden z nich, nazwiska nie wymienię, był dyrektorem szpitala przy areszcie śledczym w Grodzisku Mazowieckim. Wśród jego autorskich metod oceny zdrowia pacjenta była i taka, która polegała na wysyłaniu do celi kapusiów, którzy referowali zachowanie pacjenta. Pół biedy, jeśli w ogóle to robił... Ale umieszczał sporządzone przez kapusiów obserwacje w orzeczeniach! A lekarz nie ma prawa moralnie informować wymiaru sprawiedliwości o innych (poza aktem oskarżenia) przestępstwach danego pa-

cjenta. Podobne metody śmierdziały radziecką psychuszką... Ale to po prostu byli właśnie psychiatrzy z powojennej „łapanki”. A przecież każdy z nas, pracujących wówczas w areszcie, mając do czynienia z więźniami podczas lekarskich wywiadów dowiadywał się o wielu czynach karalnych, których ujawnienie mogło skutkować wyrokiem śmierci. Ale żaden z nas, dotrzymując tajemnicy lekarskiej nigdy nie zamieścił tego w raporcie. Tylko raz, bezpośrednio na podstawie naszego orzeczenia, więzień dostał karę śmierci. Wyrok wykonano. Ale tylko ten jeden raz na setki rozpatrzonych przez nas przypadków.

Udało mi się poukładać wszystko według planu, na korzyść personelu i więźniów. Szpital stał się miejscem, w którym się leczy, a nie takim, które jest przedłużeniem więzienia. Oczywiście nie bez przeszkód, właśnie przez to, że nie pijałem z przełożonymi. Nie pozwalałem na to także moim lekarzom. Zresztą oni byli jakby poza całym systemem. To ja byłem ich łącznikiem z władzami aresztu. Dlatego cała komunikacja między moim personelem, a tak zwaną „góram”, odbywała się przeze mnie. Dla ochrony osób pracujących na kontrakcie (cywilnym), które mogły czuć się swobodnie, nie przejmując się ewentualnymi donosami, bo nie były później wykorzystywane. Najważniejsze, nie cierpiące zwłoki sprawy, wymagające zazwyczaj ogromnej ilości podań, dokumentów i innych petycji, załatwiane były często na tak zwaną „gębę”. Tak jak i również moja akcja przeorganizowania szpitala na placówkę bardziej medyczną, z mniejszą ilością ustrojowych represji. Nawet oddziałowy zaczął chodzić w kitlu, choć z personelem pielęgniarским nie rozumiałem się tak dobrze, jak z kolegami po fachu.

Obserwując łatwość wprowadzania zmian przy ominięciu drogi oficjalnej, kilka lat później, organizując kolejny ośrodek leczenia odwykowego, tym razem we Wrocławiu, nie pytałem nikogo o zgodę na założenie podobnej placówki. A przecież najpierw potrzebne było pozwolenie samego ministra. Jednak zdając sobie sprawę, że procedury trwałyby latami, a w następstwie ktoś schowałby mój wniosek do szuflady, z której nic nigdy nie wraca, postanowiłem działać na własną rękę. I co najśmieszniejsze, ów ośrodek po zmianie ustawy o przeciwdziałaniu alkoholizmowi w roku osiemdziesiątym drugim wszedł na listę placówek tego typu, bez żadnego „ale”.

Pozostając przy areszcie śledczym, wdrażałem w życie kolejne wizje. Poza istniejącym już szpitalem, na terenie placówki były jeszcze

niewykorzystane pomieszczenia. Po dwóch latach utworzyłem w nich oddział odwykowy, z osobną klatką schodową i wejściem. Tu już oczywiście potrzebne były wszystkie możliwe zgody, zarówno Departamentu Więziennictwa, jak i co najmniej dwóch ministerstw. Wewnątrz więziennych murów nie było samowolki. Lecz organizowanie było przecież moją mocną stroną. Potrafiłem tak podać argumenty, by stanowiły o konieczności zorganizowania oddziału na terenie aresztu. Tu za jego stworzeniem przemawiało przede wszystkim bezpieczeństwo pacjentów z małymi wyrokami, dotąd przebywających z groźnymi przestępcami na jednym oddziale.

Rzecz jasna, praca w takim miejscu nie mogła przebiegać całkowicie bez przeszkód. Za mojej kadencji także zdarzył się przypadek samobójstwa jednego z więźniów. Mieliśmy wtedy zebranie personelu w moim gabinecie. Przed drzwiami, obserwując korytarz, siedział oddziałowy. Pewien młody człowiek trafił na oddział z podejrzeniem schizofrenii. Nie wiem, jak to się stało, że ów pacjent został na chwilę sam w celi. Prawdopodobnie oddziałowy wypuścił drugiego z więźniów do ubikacji. Wtedy właśnie chłopak powiesił się na sznurowadle. Jestem pewien, że jego samobójstwo związane było z chorobą. Napisałem nawet takie orzeczenie, podając przyczyny psychotyczne. Zrobiłem to także z myślą o rodzicach chłopaka, którzy przyjechali dowiedzieć się, co zaszło i dlaczego ich syn nie żyje. Dzięki wykazaniu, że pacjent cierpiał na poważną chorobę psychiczną, jego rodzina mogła go pochować na cmentarzu, choć kościół nie zezwalał na chowanie skazanych według obrządku katolickiego.

Po czasie zacząłem mieć poważne problemy z J. K. – inspektorem. Szpital stworzony był przecież po to, by więźniów, którzy zachowywali się nienormalnie zdiagnozować, głównie pod kątem tego, czy nie symulują. Ja uważałem, że taki człowiek, który symuluje również może być podejrzanym (o chorobę psychiczną...). Normalni ludzie nie symulują. Ale mój tok myślenia przestał pasować inspektorowi po czterech latach mojej pracy w areszcie. Później zaczął mu także przeszkadzać fakt, że nie mam ukończonej tak zwanej dwójki, czyli drugiego stopnia specjalizacji w dziedzinie psychiatrii. Wiedział o tym, przyjmując mnie do pracy i przestał tolerować, gdy stałem się dla niego niewygodny. Zaczął mocno na mnie naciskać. Najpierw napisał na mnie donos, dotyczący mojej specjalizacji właśnie, zarzucając mi brak kompetencji do prowadzenia od-

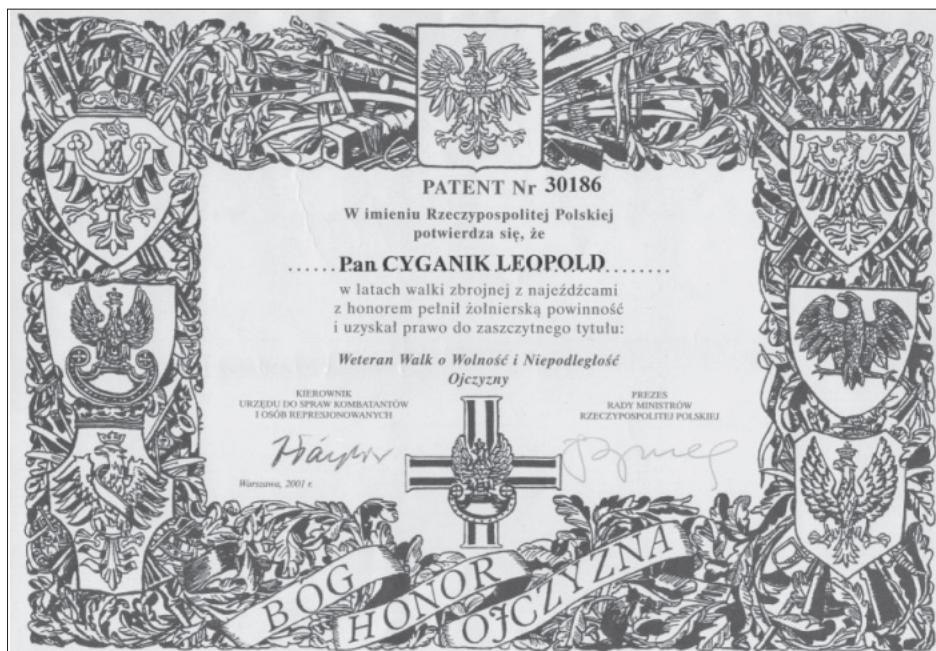
działu szpitalnego w areszcie śledczym. Kiedy to zrobił, w odpowiedzi napisałem podanie o oddelegowanie mnie na trzymiesięczny staż do Warszawy. Dostałem zgodę. Postanowiłem bronić się na stanowisku. W międzyczasie J. K. poszedł do profesora B. z jednym z naszych orzeczeń o przerwę w karze (jak się potem okazało, tylko tym jednym). Poprosił go o wystawienie opinii sugerując, że jest ono nieprofesjonalne i błędne. A B., nie wiedząc czemu, zgodnie z sugestią postanowił owo orzeczenie zakwestionować... Po powrocie poszedłem do niego (lubiłem konfrontacje w cztery oczy) i zapytałem, co konkretnie ma mi do zarzucenia. Jakich zaniedbań dopuściłem się, sporządzając ów dokument? B. wycofał się ze swojej opinii, jakoby moje orzeczenie w sprawie pacjenta było „żenująco kompromitujące (!)”. Ten sam B., z którym pisałem wspólne prace naukowe... Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego napisał mi tak „piękną” opinię. Nie tłumacząc, wyparł się swoich słów, ale wiedziałem, że to było ostatnie orzeczenie jakie napisałem w mojej ówczesnej pracy. W kolejnych dniach poprosiłem o konfrontację z J. K. w cztery oczy u naczelnika. Stawiłem się na spotkanie, trochę przed czasem. Czekaliśmy na niego długo. W końcu zapytałem:

– Panie naczelniku? Czy ma pan jeszcze siłę czekać na inspektora doktora, czy już możemy się rozstać?

– Tak, możemy - odrzekł naczelnik, widząc chyba, kto w tym całym sporze zdaje się być niepoważnym tchórzem. Jednak ja już wiedziałem. Musiałem rozejrzeć się za nową pracą.

W szpitalu w areszcie pracowałem jeszcze przez jakiś niedługi czas, kilka miesięcy. Aż pewnego listopadowego dnia przyszło nowe rozporządzenie z ministerstwa, o nowej siatce płac. Według niego pracownicy zatrudnieni jako cywile w placówkach takich jak ta, w której byłem zatrudniony, zarabiać mają mniej niż mundurowi. Zawsze istniała możliwość zmiany kwalifikacji zatrudnienia. W rozporządzeniu zamieszczono takie zdanie: „Należy pisemnie wyrazić akceptację nowych warunków. Brak akceptacji jest równoznaczny z wypowiedzeniem”. Niczego nie napisałem, nie podpisałem i nie złożyłem. Zaskoczyłem wszystkich. Dwa tygodnie przed upływem terminu składania deklaracji, zamieściłem prośbę o wskazanie następcy, który przejmie po mnie szpital. I mimo usilnych prób przekonania mnie, bym raz jeszcze przemyślał swoją decyzję, odszedłem.

O tym, jak ciężka i wymagająca była praca przy areszcie niech



Patent przyznający Leopoldowi Cyganikowi prawo do bycia weteranem Walk o Wolność i Niepodległość Ojczyzny.

świadczy fakt, że mój następca wytrzymał w niej tylko miesiąc dłużej niż mój poprzednik. W ciągu kwartału jego kadencji powiesiło się kilku jego pacjentów. Moja noga nigdy więcej nie stanęła w tym szpitalu. Choć później, jako specjalista wojewódzki, miałem możliwość nadzorowania tej placówki. Wizytowania i wytykania nieprawidłowości. Ale nie miałem na to ochoty.

W czasie gdy pracowałem w areszcie zaszło kilka zmian w mojej sferze prywatnej. Kuzynka i jej niezdolny mąż wynajęli mieszkanie nad nami. Wprowadziła się do niego spokojna, młoda para małżonków. Mieli na nazwisko Piniak. Walery Piniak robił doktorat z prawa rolnego. Po nocach uczył się do egzaminów, pracował za dwóch i bardzo się starał utrzymać rodzinę. My z kolei z Alicją mieliśmy problem z opiekunkami do córki. Ciągle nam nie odpowiadały. Po odprawieniu trzynastej okazało się, że przyszły doktor prawa rolnego jest wymarzoną opiekunką dla Marty. Gdy rano wychodziliśmy do pracy, on schodził do nas ze swoimi papie-

rami i pilnował córki, łącząc naukę z pracą. Nawet po jakimś czasie, gdy spotkaliśmy się, kiedy Marta była już wyrosniętą panną, jej niedojrzałe wywody Walery skomentował zdaniem:

– Ty już nic nie mów. Ja cię widziałem nawet naga...

Ale faktycznie, swoją pracę jako opiekunka wykonywał bardzo sumiennie. Tym bardziej że lecząca się na bezpłodność jego żona, nie mogła zajść w ciążę. A on najwyraźniej chciał mieć dzieci.

Kiedy kuzynka i jej mąż uznali, że trzeba wymienić wynajmujących mieszkanie lokatorów, pozbyli się ich w taki sposób, jakiego mogłem się spodziewać: chamski. Mąż Anuli zrobił doktorowi Piniakowi taką awanturę, że słyszała ją nie tylko moja rodzina, ale i wszystkie zamieszkujące sąsiednie domy. Walery, któremu w międzyczasie żona zniszczyła małżeństwo, zostawiając go dla ginekologa leczącego u niej bezpłodność, otrzymał propozycję objęcia katedry prawa rolnego na uniwersytecie w Katowicach. Postanowił z niej skorzystać. Dostał na Śląsku piękne, czteropokojowe mieszkanie i dobrze płatną posadę. A ja kibicowałem mu z całych sił. Co najśmieszniejsze, po kilku latach małżeństwo Piniak znów się zeszło, a Walery wziął ponownie ślub z byłą żoną. I żyło im się dobrze. W końcu Walery został posłem na sejm pierwszej kadencji (obecnej rzeczywistości), a następnie prezesem NIK-u. Po jakimś czasie Walery zginął w wypadku samochodowym na autostradzie do Katowic, nie z własnej winy.

Ala w przeciągu kilku miesięcy wraz z prof. Adamem Łukowczykiem opublikowała pięć prac nie zaniedbując jednocześnie swojego doktoratu na biochemii Uniwersytetu Wrocławskiego u prof. W. Mejbaum-Katzenellenbogen. Rada wydziału wyraziła zgodę na otwarcie przewodu doktorskiego a profesor została promotorem doktoratu Alicji. Na recenzentów pracy wyznaczono Panie: doc. dr hab. Aleksandrę Kubicz oraz Krystynę Krause-Hołyśt. Doktorat dotyczył - wedle marzeń żony - badań nad związkami enzymów znajdujących się we krwi alkoholików. Praca została obroniona w 1976 roku. Ala była wtedy ponownie w ciąży, niestety nasze dziecko urodziło się martwe. Nie doczekaliśmy się drugiego dziecka.

Oboje wówczas nie wiedzieliśmy, że doktorat to jedno z ostatnich zrealizowanych pragnień Alicji, bowiem niebawem nadszedł rok 1977 a wraz z nim zdarzenie, którego traumatyczne skutki odczuwam po dziś dzień.

Cdn.

Jan Tarnawski

Głos Ojczyzny

Ojczyzna moja droga
Umiera na Krzyżu rozpięta.
Po ciężkich ranach i znojach
Niewolą jest objęta.

Jezu! Tyś wielkiej męki doznał,
Do krzyża przybity gwoździami.
Naród dobroci Twej nie poznał,
Rzymianie stali się katami.

Głowę Twą cierniem spowili,
Aż skronie krwią świętą zaszyli.
Gdy serce Ci włócznią przebili,
Oczy jak gwiazdy zgasły.

Lecz zmartwychwstałeś Panie,
Aby lud swój pocieszyć.
Ojczyzna też powstanie;
Miłością trzeba Ją wskrzesić.

Strofy znajdują się w zbiorze pt. *Wiersze*, a nadesłał go do redakcji p.
Stanisław Tarnawski, brat zmarłego Autora.

Dlaczego Stepan Bandera nie może być bohaterem narodowym Ukrainy?

Na to pytanie odpowiada znany badacz historii stosunków polsko-ukraińskich Mieczysław Samborski w wydanej właśnie przez Wydawnictwo Polityka Polska monografii: *Sprawcy ludobójstwa Polaków na Wołyniu w czasie II wojny światowej. Historia Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*. Jest to na wskroś nowatorska książka, która do tej pory nie miała odpowiednika w historiografii polskiej i ukraińskiej. Całość była konsultowana z 11 najwybitniejszymi naukowcami tego obszaru dziejów polskich,

Podstawowym zadaniem Autora była identyfikacja oddziałów i dowódców UPA celem wskazania winnych dokonania ludobójstwa 65 tysięcy Polaków na Wołyniu. Najpoważniejszy autorytet w tej sprawie i świadek wydarzeń prof. dr. hab. Władysław Filar stwierdził, że: *Książka zawiera imponującą liczbę szczegółów i mało znanych faktów i nazwisk działaczy OUN-UPA od najniższych do najwyższych szczebli działających w strukturach organizacyjnych we wszystkich powiatach Wołynia. Poszerza i pogłębia naszą wiedzę o złożonych wydarzeniach na Wołyniu, pozwala ustalić wykonawców zbrodni ludobójstwa na ludności polskiej. Ma to szczególne znaczenie dla tysięcy potomków pomordowanych Polaków na Wołyniu.*

Wszystkie te zdarzenia zostały opowiedziane na tle historii OUN i jej protoplasty Ukraińskiej Wojskowej Organizacji i UPA wraz z jej poprzedniczką Ukraińską Wyzwoleńczą Armią w latach 1920-1935. Przez większość swojego istnienia były one podtrzymywane i finansowane przez wojskowy wywiad armii niemieckiej. Autor wykazał ścisłe związki tych organizacji z niemieckimi formacjami wojskowymi i policyjnymi, które w konkluzji mogą stać za kontrowersyjną koncepcją przynależ-



ności do nich i UPA. Głównymi postaciami książki są m.in.: Jewhen Kownalec, Andrij Melnyk, Mykoła Łebedź, Roman Suszko, Alfred Bisanz, Hans Koch, Teodor Oberländer, Roman Szuchewicz, Ołeksandr Łucki, Dmytro Klaczkowski, Iwan Łytwynczuk, Jurij Stelmaszczuk i Petro Olijnyk.



Warszawa,
skwer Wołyński,
2023 r.
Centralne
obchody 80.
rocznicy czystki
etnicznej
na Wołyniu
dokonanej przez
ukraińskich
nacionalistów.
Fot. Jakub
Szymczuk,
KPRP

Ten obszar książki podsumował dr hab. Andrzej Zapałowski słowami: *Szczególnie ważne z punktu widzenia naukowego jest przedstawienie wielowątkowych działań organizacyjnych różnych nurtów nacjonalizmu ukraińskiego na Wołyniu i rolę jaką w tym odgrywały niemieckie służby specjalne.* Na specjalne podkreślenie zasługują losy Stepana Bandery, który od 1934 roku nigdy więcej nie przebywał w Ukrainie, albowiem w czasach wojny mieszkał w Rzeszy Niemieckiej i torpedował wszelkie inicjatywy nacjonalistów ukraińskich w „kraju” podjęcia walki z okupantem niemieckim. Także nie brał udziału w tak lansowanej przez naukowców ukraińskiej walce narodowo-wyzwoleńczej z władzą sowiecką. Tak więc był poza głównym nurtem wydarzeń i działał na szkodę Ukraińców i dlatego był wielce negatywną postacią w ich historii.

Według niektórych państwowych decydentów i naukowców książka może stać się zagrożeniem dla stosunków polsko-ukraińskich. Natomiast autor uważa, że odkrywa prawdę, tak postulowaną przez polityków polskich. Ale jest coś na rzeczy, skoro tak poważny naukowiec jak prof. dr hab. Czesław Partacz napisał w recenzji wydawniczej iż: *Muszę stwier-*

dzić dobitnie, że opracowanie Pana M. Samborskiego, z chwilą jego ukazania się na rynku księgarskim będzie dla wielu badaczy polskich, ale głównie ukraińskich, szokiem.

Wbrew pozorom książkę czyta się bardzo dobrze i dla zrozumienia tych specyficznych dziejów nie potrzeba jakiejś specjalnej wiedzy historycznej. Jest przeznaczona dla szerokiej rzeszy Czytelników. Książkę można nabyć w wielu dobrych księgarniach, a także na portalach.

(Z prasy)

Red. Na stronie www.kphc.umk.pl znajduje się książka Jana Ogińskiego Kotrymowicza pt. „Tragedia w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta”, wydana w Krakowie w 1908 r. Ze względu na szczupłość miejsca w zeszytach, przepisałem tylko jej dwa ostatnie rozdziały (XVIII i XIX), istotne w tragedii. Zachowałem oryginalną pisownię.

Tragedia w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta (cz. I)

Rozdział XVIII. Gliniany.

Wszystkie gościńce, wszystkie dróżki wijące się w okolicach Lwo-wa, niziny i stoki gór, roily się setkami, tysiącami podróżnych, najrozma-itszego stroju, postawy i zamożności. Ukończono żniwa, posprzątano już z pól; wysokie rżyska pszeniczne bujnie porośnięte trawą, pokrywały gro-mady bydła, koni i ogromne stada owiec, po większej części czarnych; wszędzie kipiało życie, wszędzie w powietrzu unosił się gwar, stada bocian-ów gromadziły się już do odlotu, długie sznury żurawi płynęły powie-trzem za swoimi wodzirejam i na południe, siadały na chwilę na polach, rozstawiały placówki i żerując od czasu do czasu okrzykami swym i kłó-ciły powietrze, sprawiając wrzawę, którą powiększały niezliczone stada kwiczołów, szybko wirujące w powietrzu. Zataczając koła wysoko, to zni-żając się do samej ziemi, to unosząc się znowu w górę, podobne były do tumanu liści unoszonych wiatrem jesiennym. Drogami prowadzącymi do Glinian, ze wszystkich stron przybliżały się orszaki magnatów na pysz-nych koniach; jeźdźcy pokryci zbrojami kosztownymi, świecili w promie-niach jesiennego słońca, jak zwierciadła stalowe.

Każdy taki orszak poprzedzał chorąży, niosący godło rodowe w ręku; rzadko jednak pokazywały się kolasy; starcy tylko zgrzybiali albo chorzy, decydowali się wsiadać do tych babskich kołysek, a jeżeli toczyła się bogata karoça, to niezawodnie siedział w niej albo duchowny potentat, albo żona lub matka którego z panów. Za to gromadki jeźdźców były nie do zliczenia, drobna szlachta nie trzymała się porządku ziem swoich, po kilku, po kilkunastu postępowało razem wesoło gwarząc, o mającym odbyć się sejmie w Glinianach.

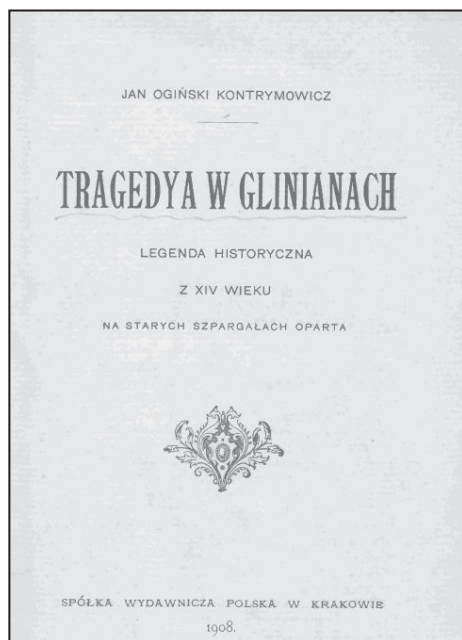
Najsprzeczniesze wieści krążyły pomiędzy tłumami o celu zgromadzenia: jedni utrzymywali, że król jegomość zwołał ich, żeby uderzyć

na Tatarów, inni, że myśli prosić o zaprzysiężenie wierności jednej ze swoich córek jeszcze za życia, inni, że chce nakładać podatki samowolnie i dlatego marszałek koronny odwołał się do braci szlachty o pomoc. Byli tacy, którzy coś przebąkiwali o oderwaniu pewnych prowincyj od Polski i przyłączeniu ich do Węgier, ale idea ta była niepopularna i nikt nie ośmielił się głośno gardłować za nią. Wspólną jednakże myślą, która ożywiała ich wszystkich, która im dodawała bodźca do odbycia dalekiej i kosztownej podróży, była nadzieja wytargowania na królu nowych przywilejów dla szlachty.

Choroba ta jak gangrena zaraziła

już prawie cały organizm szlachecczyzny, wessała się w żyły i miała stać się zarodem śmiertelnej choroby Rzeczypospolitej. Wszyscy mówili tylko o prawach i przywilejach, jakie potrzeba wyjednać, nikt o obowiązkach, jakie spełnić należy.

Przyszła samowola szlachecka objawiła się już w czynach; szlachta, przejeżdżając przez wsie, ochraniała łąny dworskie, ale bez żadnego skrupułu roztasowywała się na łąkach włościan i wypasała im trawy;



zajeżdżała na noc do chat wieśniaczych i mieszczańskich, bez ceremonii wyrzucała właścicieli, a sama rozgospodarowywała się w ich mieszkaniach.

Konie, wprowadzone do stodół, karmione były bez żadnej różnicy snopami pszenicy czy owsa, a biedny kmietek nie odważył się zaprotestować przeciw temu nadużyciu; z za węgła tylko spoglądał ze łzami albo z zemstą w oczach na marnowanie swego dobytku i łamiąc ręce, zanosił ciche skargi do Boga, prosząc o sprawiedliwość. Bywały wypadki, że podochoczone szaraki wyprowadzały z obory najpiękniejszą jałowicę, zabijały ją i wyprawiały tany z młodemi kobietami, którym jeszcze oczy nie obeschły od łez, gdyż ciężkie pobicia a niekiedy i śmierć były odpowiedzią na opór. Tego jednak wszystkiego szlachcie było za mało, robiło się to bezkarnie, ale jeszcze trzeba im było nadużycia zamienić w prawo, ująć w przepisy i usankcjonować przywilejami. Po większej części tą myślą ożywiona szlachetczyzna śpieszyła do Glinian na sejm. Jeżeli przejazd taki tłumny był ciężki dla mieszczan małomiasteczkowych i chłopstwa, to dla Żydów, przeciw którym teraz wszędzie rozwieliżmożniła się reakcja, był prawdziwą plagą egipską. Chowali się po kątach, nie śmiejąc pokazać swego oblicza, a chudoba ich była zupełnie na łasce i niełasce pierwszego lepszego, co miał przypasaną do boku chociażby lipowem łykiem karabelę.

Jak okiem zasięgnąć około Glinian rozciągały się namioty. Samo miasteczko zajęli panowie ze swoimi dworami, drobiazg musiał się mieścić na przyległych polach, porozbijawszy płócienne namioty, lub budując sobie z desek lub chrustu szałas. Piękna pora roku sprzyjała temu koczowaniu, rozkoszna jesień, jakiej nigdzie oprócz w Polsce nie napotka podróżny, roztaczała swoje nieprzeliczone bogactwa, sady okryte owocami ugiwały się pod ciężarem gruszek złotych, jabłek czerwonych, śliwek fioletowych, lub karmazynowych dereni, a nierzadkie winnice przyciągały wzrok zawieszonymi szmaragdami, przelewającemi się w złote odbłaski. Wszystko roiło się życiem, kipiało pieśnią, albo przechodziło w ten szum niewyraźny, jaki wydają tłumy, podobny do cichego szumu morza, lekko wzruszonego powiewem wiatru. Zjazd szlachty przeszedł wszelkie oczekiwanie marszałka koronnego; rachowano, że stawi się co najwyżej kilkanaście tysięcy z pobliskich okolic Małopolski i ziem ruskich; tymczasem prowincje Wielkopolskie okazały się nie gorsze od Małopolan. Obowowisko, jakie zajęła szlachta, doświadczeni oceniali na pięćdziesiąt tysięcy.

cy chłopą, nie licząc ciurów i orszaków zbrojnych panów. Imponująca to była siła i pokazywała w całym blasku potęgę zjednoczonej Rzeczypospolitej, o której sami inicjatorowie zjazdu może nie wiedzieli.

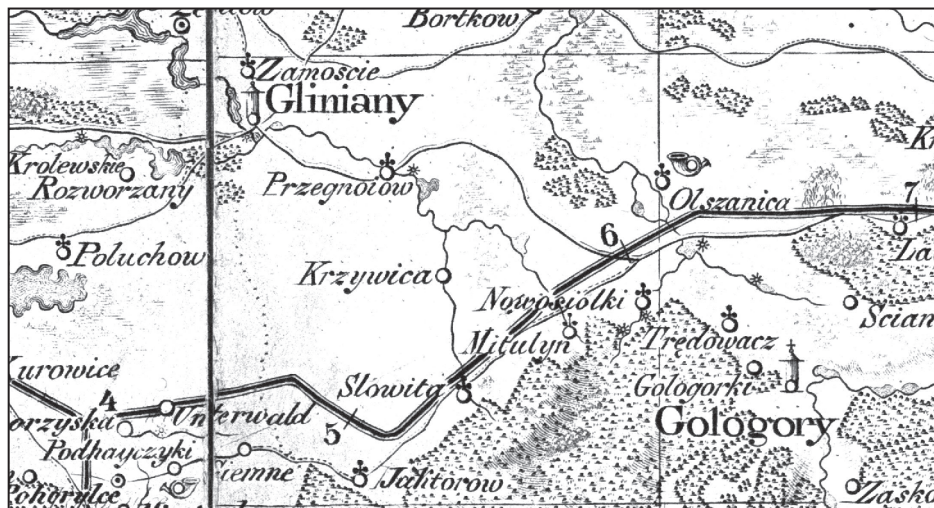
Tu na dziarskim rumaku jakiś jeździec zataczał koła, pokazując dzielność konia i swoją wprawę, tu okazały poczet magnata, cały okryty w żelazo, odbywał ćwiczenia wojskowe; tu postępowali piesi łucznicy z potężnymi łukami na plecach, z kołczanami i pełnem i strzał; gdzieś widać było arkabuźników z długim i flintami i przygotowanem i do nich lontami.

Powbijane kołki i kopie w ziemię stanowiły uwiązania dla koni drobniejszej szlachty, które w długich szeregach, z pozakładanymi torbami płóciennymi na łbach, żuły wesoło, tanio nabyty owies chłopski. Muzyki cygańskie swobodnie przechadzały się po obozie i tonami skrzypiec, bębenków i cymbałów napępiały powietrze, tu i ówdzie podpiły szlachetka wtórował im pieśnią niekoniecznie do taktu, dalej dymiły się pozapalane ogniska, przy których gromady służby piekły, gotowały i warzyły na co kogo stać było i czem grzeszne ciało można było pożywić.

Tymczasem w kościele gliniańskim odbywało się nabożeństwo, na którym celebrował biskup wrocławski Lubrański w asystencji liczного kleru. Po skończeniu nabożeństwa, zgromadzeni panowie, mając na swoim czele kulawego marszałka Rafała Granowskiego i brata jego starostę wielkopolskiego, wyszli na rynek i tu odebrali wiadomość, że król jego- mość na czele tysiąca swojego węgierskiego rycerstwa zbliża się na sejm i już znajduje się w Gołogórah, o dwie mile odległych, gdzie odpocząwszy dzień jeden, pośpieszy do Glinian.

Natychmiast marszałek koronny Granowski, zebrawszy czterotysięczny poczet szlachty co najdzielniejszej i oddawszy komendę bratan- kowi swojemu Janowi Granowskiemu, synowi Wincentego, wyprawił go na spotkanie monarchy do Gołogór, wyprawiwszy jednocześnie przez niego listy do króla, z prośbą, żeby raczył wyprawić pierwej, przed swoim przybyciem do Glinian, wszystkich senatorów, będących przy jego boku, którzy zgodzili się już na odstąpienie ruskich ziem, dla łatwiejszego porozumienia się z nimi i zadecydowania stanowczego o tych żądaniach króla.

Kiedy oddział czterotysięczny rycerzy polskich pod dowództwem Jana Granowskiego przybył do Gołogór, mały oddziałek króla, złożony z tysiąca Węgrów, zniknął prawie pośród błyszczących zbroi wyborowego



Fragment terenu pomiędzy Glinianami i Gologórami na mapie z roku 1824.

hufca Polaków. Węgrzy z zawiścią spoglądali na tych rycerzy wypróbowanych w bojach, świetnie okrytych żelazem, na dzielnych polskiej rasy koniach, przybyłych towarzyszyć swemu królowi, przy których przepych Węgrów wydał się szychem wobec złota.

Król niezmiernie zadowolony był z przybycia tego pysznego pocztu, a radość jego zdwoiła się po przeczytaniu listów senatorów z Glinian, zdawało mu się bowiem, że dostrzega w nich milczące przyzwolenie na jego plany. Senatorowie obecni przy królu, ci, co już pierwsi dali swoje podpisy, czuli się zadowoleni tą rolą pierwszeństwa, którą teraz odgrywali; kiedy więc król wezwał ich do siebie, a było ich siedmiu, i oświadczył im, że zgromadzeni senatorowie nic nie chcą radzić bez nich i zapraszają ich do wspólnej rady, żadnemu przez myśl nawet nie przeszło, że to może być jakaś pułapka i natychmiast zaczęli się gotować do drogi. Król, pragnąc jednak być jeszcze pewniejszym głosów sejmujących i pragnąc tym, którzy się już podpisali, zagrozić drogę do cofnięcia swojego zdania, wezwał do siebie młodego Granowskiego i tak się odezwał:

– Żeby dać mojej wiernej radzie, złożonej z senatorów najpierwszych Rzeczypospolitej dowód mojego zaufania i przekonać senatorów przy boku naszym będących, powierzam ci podpisy tych siedmiu panów, którzy się już zgodzili na podział ziemi; wyslij je umyślnym do sejmu,

żeby wręczył te dokumenty senatorom w Glinianach.

Młodzieniec ze zdumieniem spojrzał na króla, który mu doręczał tak nieogłędnie dowody zdrady. Przyjął je na pozór spokojnie i rzekł:

– Stanie się, jak wasza królewska mość raczyłeś rozkazać. Pewny posłaniec zawiezie natychmiast listy mojemu ojcu i innym panom.

Jakoż niebawem listy zostały wyprawione, a siedmiu magnatów gotowało się do drogi, zadowoleni z roli, jaką im przyjdzie odgrywać w Radzie.

Gdy Ludwik pozostał sam, drzwi się otworzyły i wszedł kanclerz Zawisza. Na twarzy jego nie znać było tego zadowolenia, jakie rozlane było na dostojnym obliczu królewskim; przeciwnie, przejawiał się jakiś wyraz niespokojności i wahania. Król uśmiechnięty zwrócił się do wchodzącego Zawiszy i rzekł:

– Wysłałem panom senatorom do Glinian podpisy tych panów, którzy najpierwsi zgodzili się na podział.

Na te słowa Zawisza drgnął jakby oparzony gorącą wodą.

– Czy wasza królewska mość, naprawdę to uczyniłeś?

– Tak, to innych skłoni do spiesznej a przychylnej decyzji.

– Lub też popchnie do opozycji, oraz podda odpowiedzialności tych, którzy podpisali.

A jednocześnie pomyślał:

– Jakże dobrze, że mego podpisu tam nie ma.

– Cóż znowu, czyliżby miała jeszcze istnieć jaka opozycja?

– Gdzież jej niema, najjaśniejszy panie? Zbyt wielka cisza nigdy mnie nie zachęcała do podróży morskiej... Nie podoba mi się to milczenie



Wyobrażenie króla Ludwika Węgierskiego przez Jana Matejkę.

uporczywe, które panuje w obozie szlachty.

Król roześmiał się.

– Tchórzysz widać, mości kanclerzu.

– A i ten tak liczny orszak szlachty, przysłany na spotkanie waszej królewskiej mości, także mi się podobać nie może.

– Zapewne dlatego, że w nim nie powiewa chorągiew z godłami Porajów.

– Dlatego, że orszak twój osobisty, węgierski, miłościwy królu, roztopił się w nim, jak kropla wina w szklance w ody.

Król spojrzał badawczo w oczy kanclerza i zapytał:

– Miałżebyś mieć waszmość, jakie niepokojące wiadomości o zamiarach szlachty względem mojej osoby?

– Broń Boże! Nic podobnego nie doszło do moich uszów, ale zawsze pragnę, żeby król był w położeniu, z którego może rozkazywać, a nie prosić.

Król na chwilę głęboko się zamyślił, ale chwila ta trwała bardzo krótko, przypuszczał bowiem, że Zawisza, zawsze chciwy i umiejący korzystać z każdej okazji, okazując swój zły humor, chce coś wytargować, odrzekł więc, żartując dość swobodnie:

– Jeśli szlachta chce mnie doprowadzić do Polski z takim konwojem, to pojedziemy tam, mości kanclerzu, rozpatrzmy się w tych skargach nieustających i przepędzimy jakiś czas wśród wiernych naszych poddanych polskich.

Zawisza poczuł pocisk. Skargi, które dochodziły do króla, wszystkie prawie wymierzone były przeciw niemu, a było tam wiele czynów samowoli, najazdów, przekupstw w sądownictwie, spełnionych pod jego okiem, których wyprowadzać z cienia Zawisza nie życzył sobie. Widział on, że się coś psuje około niego, że od jakiegoś czasu traci ufnosć królewską, i że tylko jeszcze wpływami Elżbiety utrzymuje się w równowadze; obmyślał więc sposoby powrócenia do łask królewskich, a znając doskonale charakter Ludwika i wiedząc, że wszelkie uwagi przyjmuje niechętnie, za najlepsze uznał w sprawie Gliniańskiej milczeć, aż sama dostatecznie się rozświekli. Stu tylko jeźdźców stanowiło świetny orszak siedmiu senatorów, udających się na wezwanie panów zgromadzonych do Glinian. Liczba ta, w porównaniu z potęgą, jaką reprezentowali, była bardzo skromna. Każdy z nich mógł oddzielnie rozporządzać nierównie znaczniejszymi siłami, ale powracając z Węgier, gdzie samowolnie nie można było z włoś-

cian wybierać prowiantów i widząc, że sam król Ludwik wziął sobie tylko na eskortę tysiąc koni, nie chcieli i oni imponować szlachcie swoim blaskiem.

Cdn.

Notatki z powiatu w gazecie „WSCHÓD” (cz. V)

Z Przemyślan. W Przemyślanach odbyło się zebranie Powiatowego Komitetu Porozumiewawczego, na którym przemowę wygłosił dyrektor Greszczuk z Tarnopola. Omawiano sprawy organizacyjne, społeczne i gospodarcze. Upoważniono dr Lenkiewicza i dyrektora gimnazjum Piątkiewicza do przeprowadzenia wyboru nowego zarządu Powiatowego Komitetu Porozumiewawczego. (Nr 102 z 30.11.1938 r.)

+ + + + +

Związek Strzelecki w powiecie przemysłańskim. Działalność Z.S. w powiecie przemysłańskim przejawia się w czynach obywatelskich. Świadczenia strzelców i strzelczyń na rzecz dobra ogólnego są duże i bezinteresowne. Występuje u nich myśl wspólnego wysiłku dla ogółu, która następnie zamienia się w czyn pochodzący z poczucia obywatelskiego. Strzelcy tego powiatu w 10 oddziałach występują wyraźnie z zamiarami ofiarowania swych prac i czasu na rzecz sprawy ogólnej, przy budowie Domu strzeleckiego, Domu ludowego, kościoła, kaplicy, szkoły powszechnej, urządzeniu półkolonii i prac dla armii. Między innymi: Oddział Z.S. w Świrzu w liczbie około 130 osób, chcąc przystąpić do budowy domu własnego, rozpoczął najpierw urządzać liczne imprezy, zabawy i festyny, przedstawienia i sprzedaż cegiełek. Po zebraniu pewnej kwoty przystąpił Oddział do budowy własnego Domu strzeleckiego o bardzo okazałych wymiarach i jak na małe miasteczko, krok ten można zaliczyć do bardzo odważnych i dobrze przemysłanych czynów obywatelskich. Dzisiaj dom ten jest ukończony i podziwiany przez wszystkich Polaków. Strzelcy świrscy nie szczędzili swych prac i czasu, zwozili bezinteresownie kamień, cegły i drzewo, sami nosili cegły i kamień na budowę i wykonywali wiele innych czynności niefachowych, zaoszczędzając w ten sposób komitetowi budowy dość okazałe kwoty i dając przykład swej ideowości organizacyjnej.

Oddział Z.S w Kurowicach w liczbie około 30 osób brał czynny udział

przy budowie kościoła w Kurowicach. Strzelcy dołożyli niejedną cegielkę swej ofiarnej pracy bezinteresownej, dzięki której kościół został już wykończony i poświęcony. W uroczystości poświęcenia wzięli oni udział jako Oddział, sformowany pod komendą Jana Zabłockiego.

Oddział Z.S. w Uszkowicach w liczbie około 20 osób urządzał przedstawienia i inne imprezy, zebrane zaś kwoty przeznaczył na budowę kaplicy w Uszkowicach.



Nieliczny oddział „Związku Strzeleckiego” w Uszkowicach z bronią ćwiczebną..
Fotografia ze zbiorów redakcji.

Oddział Z.S. w Majdanie Lipowieckim w liczbie około 40 osób ofiarował swoje prace przy budowie kościoła oraz zebrał na ten cel kwotę 150 złotych.

Oddział Z.S. w Słowicie w liczbie 20 osób brał czynny udział przy budowie kościółka w tej miejscowości. Strzelczynie Oddziałów Z.S. w Pohorylcach, Alfredówce, Krosienku, Majdanie, Pełtwi i Zadwórzcu poświęciły wiele zimowych wieczorów na robotę rękawic dla Armii.

Strzelcy Oddziału Z.S. w Jasnej w liczbie około 15 osób wzięli czynny udział przy budowie szkoły powszechnej, natomiast strzelcy Oddziału Z.S. w Siworogach przyczynili się przy budowie kaplicy w tejże miejscowości. (Nr 126 z 16.04.1939 r.)

+ + + + + + + + +

Fundusz Obrony Narodowej. Na zebraniu urzędników Starostwa i Wydziału Powiatowego w Przemyślanach zapadła jednomyślna uchwała, by wszystkie obligacje i bony Pożyczki Obrony Przeciwlotniczej przekazać w całości na Fundusz Obrony Narodowej (F.O.N.). Wydział Powiatowy w Przemyślanach na posiedzeniu swym przeznaczył na Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej kwotę 5.000 zł i równocześnie w całości ją wpłacił, przekazując obligacje na F.O.N. Personel leśny leśnictwa Hanaczów-Hanaczówka-Krosienko hr. A. Potockiego w powiecie przemysłańskim złożył na Pożyczkę kwotę 540 zł i przekazał ją w całości na F.O.N. Z inicjatywy i staraniem zarządcy lasów hr. A. Potockiego p. Jana Biesiadeckiego w Hanaczówce odbyło się zebranie Rady gromadzkiej, na którym zapadła jednomyślna uchwała powszechnego opodatkowania się na cele F.O.N. W wyniku podjętej akcji zebrano w gotówce do dnia 17 bm. 450 zł w gromadzie, zresztą biednej, którą to kwotę przekazano w całości na F.O.N. (Nr 128 z 30.04.1939 r.) ■

Red. Kartki ze wspomnieniami Żydów zakupiono w Żydowskim Instytucie Historycznym im. E. Rigelbluma w Warszawie. Nie wszyscy autorzy wspomnień pochodzili z pow. Przemyślany. Niektórych los rzucił na jakiś czas na nasz teren. Wspomnienia opisujące przeżycia autorów poza obszarem powiatu zostały pominięte. W nawiasie przy nazwisku podano miejsce urodzenia i miejsca pobytu autorów.

Wspomnienia Żydów (cz. V)

Jakub Birkenfeld (ur. 1910 w Krakowie, obóz Lwów, las koło Hanaczowa)

Uciekliśmy z obozu janowskiego. Po drodze sprzątnęliśmy dwóch

Zeznania złożone przed Żyd. Komisją Hist.
 w Krakowie. Zeznający: Jakub Birkenfeld, ur.
 w Grybowie 1910 r. Zamieszkały przed wojną w Kra-
 kowie przy ul. Hławińskiej 73. Obecnie w Warszawie
 32/5. Zawód: lakiernik 3746. Wzrost: R. Bauminger
 174 cm. Waga: 70 kg. Partyzantka 1443

Wychodząc z obrotu Janowskiego, sprętniejszy po
 drodze dwóch Sonderdienstów, którzy nas legity-
 mowali i wzięli nas do lasu 12 km. Po drodze
 nie natknęliśmy się na żadnego człowieka.
 Przybliżając wreszcie do lasu koło Przemyśla. Kończyły
 się nasze zapasy, nie orientowaliśmy się w terenie,
 nie wiedzieliśmy dokąd pójść, by zdobyć coś do jedze-
 nia. W lesie stała kopa drzewa. Postawiliśmy kilku

Początek zeznania Jakuba Birkenfelda złożonego przed Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie.

kilometrów. Po drodze nie natknęliśmy się na żadnego człowieka. Przy-
 szliśmy wreszcie do lasu koło Przemyśla. Kończyły się nasze zapasy, nie
 orientowaliśmy się w terenie, nie wiedzieliśmy dokąd pójść, by zdobyć coś
 do jedzenia [1].

W lesie stała kopa drzewa. Postawiliśmy kilku ludzi na straży obok
 drzewa, bo sądziliśmy, że prędzej czy później jacyś ludzie zgłoszą się po
 drzewo i będzie można zasięgnąć języka.

Wkrótce zobaczyliśmy skuloną postać, skradająca się chyłkiem
 w kierunku drzewa. Wiedzieliśmy, że to nie może być chłop ze wsi, bo ten
 musiałby kraść w nocy, przyjechałby furmanką w dzień. Podszedłem bli-
 żej i zobaczyłem kobietę, która rozglądała się niespokojnie dookoła i wzię-
 ła ukradkiem kilka kawałków drzewa. Zawolałem:

– Ręce do góry!

Kobieta krzyknęła z przerażeniem:

– Rebojni szel ojlon.

Uspokoilem ją i powiedziałem że jestem Żydem. Zaprowadziła mnie do bunkra. Na nieprawdopodobnie małej przestrzeni (2 m długości i 2 m szerokości) leżało czterech mężczyzn, cztery kobiety i dwoje dzieci.



Folwark świrski, leżący na południe od centrum, był najczęściej miejscem zaboru bydła przez ukrywających się w lesie Żydów.

Jak śledzie w beczce. Nędza, jakiej w życiu nie widziałem, tysiące wszy łąziło po spuchniętych z głodu, przykrytych szmatą ciałach. Zmusiliśmy ich, aby wyszli na powietrze bo byliby zginęli z braku powietrza.

Był to już szósty dzień naszej tułaczki. Nie mieliśmy już żywności, nie orientowaliśmy się w terenie. Pobliska wieś była banderowska. Poszedłem na chybił trafił na plebanię. Nie wiedziałem, czy tam nie ma Niemców i kazałem obstawić plebanię naszymi ludźmi, a sam wszedłem do wnętrza. Zastałem księdza, powiedziałem, że jestem Żydem i zapytałem co może dla mnie zrobić. Odpowiedział, że nie może mnie ukryć, ale zaofiarował mi żywność. O to mi tylko chodziło. Dał mi wszystkie swoje zapasy: 11 bochenków chleba, 2 wiadra kwaśnego mleka, 2 wiadra jabłek i ubranie dla towarzysza, który nie mógł wyjść z ziemianki, bo był prawie nagi. Prosił, abym przyszedł nazajutrz, wskazał mi (...) tajemne drzwi. Przychodziłem do niego kilka dni, aż nabrał do mnie zaufania i skierował mnie do partyzantki, podając hasło.

Zgłosiliśmy się do partyzantów. Było ich około 400, większość Rosjan, około 80 Polaków, reszta Żydów. Ksiądz był łącznikiem, niezwykle szlachetny człowiek, po prostu anioł z nieba. Dostaliśmy rozkaz likwidowania folwarków. Niemcy koncentrowali w jednym miejscu kontyngenty. Myśmy mieli w każdej wsi kuriera i wiedzieliśmy że nazajutrz ma być odprowadzony kontyngent. Noc wcześniej okrążaliśmy folwark i zabieraliśmy wszystko co było przeznaczone dla Niemców. Raz 20

krów, raz 50, raz udało się nam zabrać 150 baranów [2].

Po tych wsiach mieszkali banderowcy, którzy tropili Żydów i partyzantów. Często podpalaliśmy ich zagrody. Raz napadli na nas Ukraińcy, było ich około 1200, otoczyliśmy ich i zabili 25. Z naszej strony padł jeden Żyd. Nie spodziewali się tak silnej partyzantki i odtąd bali się zapuszczać w las.

Niemcy często robili na nas obławy. Raz osaczyli las z kreishauptmanem Kieglem. Prowadzili ich banderowcy i leśniczy. My przebywaliśmy pod gołym niebem, nie mieliśmy kryjówek, zawsze na czatach, kilku z nas patrolowało stale koło leśniczówki. Dali znak, że Niemcy idą, Wzięliśmy ich w ogień krzyżowy. Padł kreishauptman Kiegel. Nasz dowódca Fiodor ściągnął z niego mundur i dał znak Niemcom, którzy czekali na skraju lasu na rozkaz swego komendanta, by przyjść z odsieczą. Otoczyliśmy ich, padło około 10 [3].

W kominie leśniczówki ukryta była żona Fiodora, nie zdołaliśmy wyciągnąć jej stamtąd, a tymczasem Niemcy podpalili leśniczówkę i ona spaliła się żywcem. W tym czasie banderowcy napadli na księdza podczas pogrzebu, zawlekli w las i poćwiartowali.

W 1944 r. Niemcy opuszczali tereny Lwowa. Trasa ich prowadziła przez las, w którym się ukrywaliśmy. Cztery, pięć razy w tygodniu robiliśmy na nich zasadzki, gdy jechały mniejsze transporty [4]. Byliśmy już dobrze uzbrojeni, każdy był wyposażony w karabin maszynowy i 3 granaty, amunicji nam nie brakowało. Gdy przeszły pierwsze patrole rosyjskie, odebraliśmy z ich pomocą Bóbrkę. Ale one poszły dalej, a nadchodzili Niemcy, więc musieliśmy wycofać się z Bóbrki. Niemcy zabili dwóch naszych, a czterech Polaków i dwóch Żydów zostało rannych. Po 24 godzinach przyszła ponownie armia sowiecka i zrobiła koniec z Niemcami. Byliśmy wyzwoleni.

[1] Sonderdienst (niem. *Śłużba Specjalna*), zwany *prywatną policją Hansa Franka* – niemiecka policja pomocnicza powołana przez Hansa Franka z członków rozwiązanego Volksdeutscher Selbstschutz działająca na terenie Generalnego Gubernatorstwa w latach 1940–1944.

Członkowie Sonderdienstu wykorzystywani byli do prowadzenia działań policyjnych i ochronnych. Pełnili funkcje informatorów, tłumaczy, uczestniczyli w służbie patrolowej, akcjach ochrony zbiorów, ściąganiu kontyngentów. Dop. J. W.

[2] Autor wspomnień nie podaje lokalizacji tak dużego oddziału partyzanckiego. Można sądzić, że był on na terenie lasów leżących w pow. Przemyślany. Ilość zabieranego bydła

~~~~~  
**Regina Einseinstein** (ur. ? Przemyślany, wieś)

W roku 1939, gdy Niemcy zalali Europę, czarne chmury posunęły się na niebiesko-białą chorągiew i społeczeństwo żydowskie. Zaczęły się czasy prześladowań i tępienia narodu żydowskiego.

Dyspozycje:

1. Wkroczenie Niemców do Przemyślan.
2. Powstanie getta.
3. Ucieczka na wieś.

Najgorszym okresem w moim życiu, którego koszmar mam stale przed oczyma, jest okres okupacji niemieckiej. Gdy tylko Niemcy wkroczyli powstało getto. Życie w getcie było bardzo naprężone w ciągłej obawie przed akcją.

Ludzie byli tak zrezygnowani, że poddawali się losowi. Młodzież czepiała się kurczowo życia, kto mógł uciekał na wieś myśląc, że w ten sposób przeżyje najgorsze chwile. Widząc, że zagłada jest nieunikniona wysłali mnie rodzice na wieś do znajomej wieśniaczki. Z uczuciem smutku i przygnębienia żegnałam się z rodzicami i domem, którego nigdy więcej nie widziałam.

Od tego czasu stał się strych miejscem mego zamieszkania. Każdy szelest był zwiastunem śmierci, na każdy odgłos lub strzał zrywałam się z miejsca prowizorycznej drzemki pełna haniebnego lęku, jak ścigana zwierzyna szukałam ukrycia w stęchłym sianie na strychu. Tam siedziałam 3 miesiące, rano, w dzień i w nocy, nie bojąc się żadnych duchów, chyba w ludzkiej postaci. Trzy miesiące o głodzie, o chłódzie, usychając z pragnienia i drżąc w nocy z zimna, przetrwałam do likwidacji naszego miasta. Wieśniaczka opowiadała mi o krwawej akcji, o trupach zaścielających ulice i o małych dzieciach z rozbitymi o mur główkami.

Nagle usłyszałam strzały i bliską rozmowę ukraińskiej milicji. Od-

-----  
przez partyzantów jest mocno zawyżona. Dop. J. W.

[3] Autor opisuje potyczkę koło gajówki „Klusowa”. Przebywający w niej Żydzi nie patrolowali otoczenia i dzięki temu żandarm Kiegel wszedł do budynku. Żydzi również nie otoczyli Niemców przy gajówce. Dop. J. W.

[4] Z opisu wynika, że autor był w oddziale partyzanckim kpt. Fryderyka Stauba. Zasadzka tego oddziału na niemieckie podwozy była tylko jedna, w dniu 18 lipca 1944 r.

razu odkryto mój schron i wzięto mnie do pociągu, stojącego za miastem, wiozącego moich najbliższych do Bełzca. W wagonie było ciemno, duszno i gorąco. Nagle otworzyły się drzwiczki jednego z okienek i ludzie zaczęli wyskakiwać.

Wśród tłumu leżących rannych i zabitych ludzi, ujrzałem moją znajomą, zeskoczyłam i zostałam raniona w lewe ramię. Leżałam nieprzytomna, nie wiedząc, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Ludzie rozbiegli się w różne strony. Nagle stanęłam i ujrzałem dwie postaci - była to matka i siostra. Razem poszliśmy do wsi, gdzie po wielu trudach i obietnicach udało się nam zdobyć schronienie dla nas rozbitków ocalonych z krwawej powodzi. Skradając się jak złodzieje doszliśmy na umówione miejsce, gdzie już był ojciec, który dzień przedtem uciekł z piekła.

Rozpoczęło się dla nas życie podatne raczej do powolnego konania. Siedzieliśmy nad stajnią, słabą deską oddzieleni od widoku, ludzie bojący się poruszyć, by nie zdradzić swojej obecności. Gospodarze nasi dawali nam bardzo mało jedzenia, pastwiąc się nad naszą niedolą. Bochenek chleba mieliśmy na 3 tygodnie, drogocennym dla skarbem była dla nas woda, którą podawano raz na tydzień. Nie wiedzieliśmy na co użyć ten cudowny eliksir, czy twarz umyć, czy koszulę wyprać, czy wreszcie ugasić pragnienie.

Nadeszła zima, a z nią zimno i mróz. Rano wstając musieliśmy z siebie strzepać [*śnieg* – J.W.], gdyż między deskami były szpary, poprzez które nawiewało nam do środka. Na domiar złego, tak jakby chcąc dopełnić miary naszych cierpień, dawała nam gospodyni stale robotę.

Matka musiała łątać obrzydliwe łachy, ja zaś robiłam na drutach. Ani chwile nie dawano nam odpocząć, tylko stale podawano nam coś nowego. Palce trzaskały z zimna, oczy bolały, gdyż w schronie było ciemno, a jednak musiałam stać przy okienku i robić, robić bez końca.

Tam byliśmy 12 miesięcy. Front się coraz zbliżał. Raz, gdy gospodarze odeszli z domu, przyjechało auto Niemców po słomę i siano dla koni i odkryli nasz schron. Zabrano nas na milicję ukraińską. Gospodarstwo, gdzieśmy byli, spalono, gospodarz uciekł. Nagle obudził nas huk bombardowania i wszyscy Niemcy uciekli do podziemnych schronów. Korzystając z okazji uciekliśmy do lasu. Minęły trzy tygodnie, znowu Niemcy robili oblławę, która trwała dwa dni. Bunkier (tunel) nasz znowu odkryto, wrzucono parę granatów, ale my nic nie odzywaliśmy się. Niemcy myśleli, że nikogo nie ma i odeszli.



Po obławie wróciliśmy do wsi, gdyż nie mieliśmy niczego, ani o-dzieży ani pożywienia. We wsi nikt nie chciał nas przyjąć, musieliśmy więc wrócić do lasu. W głodzie i nędzy przetrwaliśmy jeszcze 5 tygodni, aż front się bardzo zbliżył. Myśleliśmy, że jesteśmy wybawieni. Tymcza-sem front stał pod Tarnopolem długich 5 miesięcy, które dla nas były więcej jak pięć lat.

Wróciliśmy na wieś. Przyjął nas ubogi wieśniak, który chciał nam wszystko zabrać, a potem wydać. Zrobił nam schron, który od najmniejszego huku bomby mógł się zawalić. Było nam bardzo źle, gorzej niż przez cały czas. Pieniądzy już nie mieliśmy, ani niczego, wypadało iść poddać się.

Tak upłynęło siedemnaście miesięcy wlokących się jak siedemnaście lat, przerywanych tylko smutnymi wieściami o mordowaniu, odkrytych schronach itd. Znikąd nie mieliśmy słowa pociechy ni pokrzepienia.

Gospodarz przychodził tylko ze złymi wieściami, starając się nas przekonać, że szkoda trudu, szkoda każdej godziny, każdego dnia, i tak nie przeżyjemy - Niemcy są niezwyciężeni - nikt ich stąd nie wypędzi. Ze światem zewnętrznym nie mieliśmy żadnej łączności, o przebiegu wojny nie mieliśmy żadnego pojęcia.

Pewnego dnia obudził nas huk bombardowania. Ożyły nasze nadzieje. Przypomnieliśmy sobie, że też jesteśmy ludźmi i też mamy prawo do życia. Cały nasz schron trząsł się od huku. Od wschodu szła zwycięska Armia Czerwona, a z nią wolność i zbawienie. Modliliśmy się do Boga aby nam pozwolił przetrzymać front, który się do nas zbliżał. Aż wreszcie pewnego dnia wszystko ucichło. Front się przesunął. Wojska radzieckie zajęły teren. Byliśmy wolni. (4.02.1945)

Cdn.

---

## **Szkoły w powiecie przemysłańskim (1896 r.)**

### **5-klasowa męsz. [mieszana] w Przemyślanach**

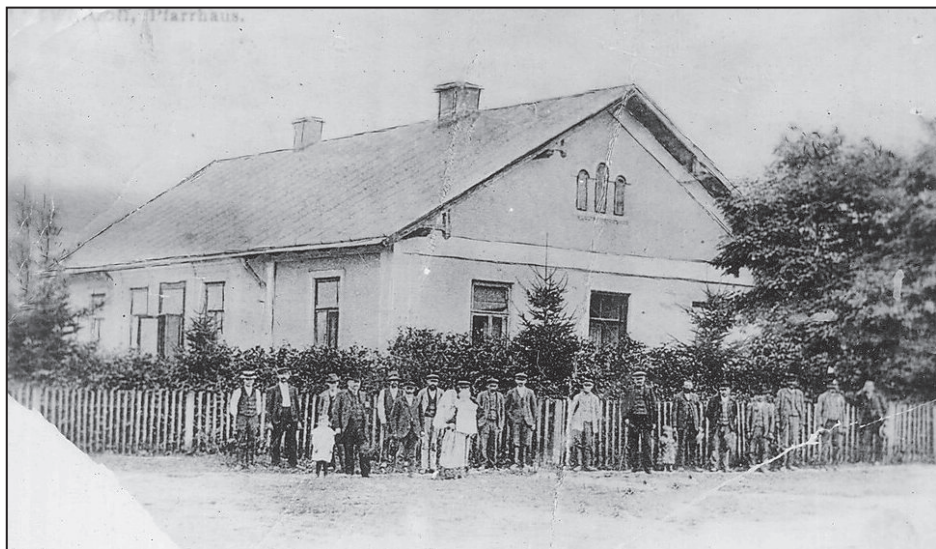
Naucz. kier. Dobrzański Hilary.

Katecheta Sokołowski, ks. gr. kat.

Katech. Głowacz Wojciech, ks. rzym. kat.

Naucz. star. - Ziobrowski Karol, Ostafińska Joanna, prow., Des-Loges Kamila, prow., Kirczów Paweł, młod., Mokrzycki karol, tym.,





Szkoła i plebania w Unterwalden (Podlesiu), 1930 r.  
Ze zbiorów Stanisława Kłosowskiego.

Dietl Wilhelmina, zast., Leitner Leonard, tym., Mihułowicz Konstancyna, zast.

#### **Szkoła 4-klasowa w Glinianach**

Naucz. kier. - Toczyński Tadeusz, prow., Katech. - Duchowieństwa miejscowe. Naucz. Łotocka Emilia, Załókał Władysław, Rawski Leon, tym., młod. Szczerbowa Joanna, zast., Krzanówna Wanda, zast.

#### **Szkoły 2-klasowe**

Dunajów. N. k. Watran Hiacynt, młod. Watran Malwina.

Kurowice. N. k. Tustanowski Bronisław p. o. we Lwowie, zast. Thot Antoni, prow., mł. Tustanowska Bronisława, prow., Pfeifer Olga, zast., Kalitówna Maria, prakt.

Laszki Król. N. k. Wertyporoch Jan, młod. Bałborzyńska Leontyna, zast.

Świrz. N. k. Zahaczewski Jan, młod. Świątkowska Maria, zast., nadet. Willmouth Jan, zast.

Zadwórze. N. k. Hołowczak Michał, Zielska Maria, prow.

#### **Szkoły 1-klasowe**

Baczów. Posada nieobsadzona.

Białe. Spinz Henryk, nadet. Saniwicka Maria, zast.  
Biłka. Melnyk Saba, zast.  
Błotnia. Boradziej Marcell, zast.  
Borszów. Borys Teodor.  
Brzuchowice. Tustanowski Jan.  
Chlebowice Świrskie. Posada nieobsadzona.  
Ciemierzyńce. Mykietyn Teodor, nadet. Zacharjasiewicz Julian, zast.  
Dobrzanica. Jaworowska Maria.  
Dusanów. Fedyk Cyprian.  
Hanaczów. Romanowicz Bronisław, prow., nadet. Romanowicz  
    Romana, zast., nadet. Jaworowski Kazimierz, zast.  
Hanaczówka. Różycka Stanisława, tym.  
Jaktorów. Bazylewicz Antoni.  
Janczyn. Poturaj Antonina, nadet. Kubik Paulina, zast.  
Kimirz. Łukaszkiewicz Stanisław, zast.  
Korzelić. Rychwicki Michał, nadet. Antonowicz Paulina.  
Kosteniów. Leeg Edward.  
Krosienko. Tarnawski Izidor, prow.  
Krzywice. Pająkowska Emma, prow.  
Lipowce. Ulwański Jakub, nadet. Wacekówna Eugenia.  
Ładańce. Harasymiak Bazyli, tym., Łukaszkiewicz Helena, nadet.  
Łahodów. Dobrzański Izidor, zast.  
Majdan Lip. Kramer Fryderyka, zast.  
Meryszczów. Kalinowicz Paulina.  
Niedzieliska. Notz Karol, tym.  
Nowosiółka. Sadowska Augustyna, zast.  
Ostałowice. Koncewicz Jan, zast.  
Peczenia. Derlica Teodor, zast.  
Pleników. Tarnawski Teodor, zast.  
Pletenice. Rozdolska Maria, zast.  
Podusilna. Kamiński Bazyli.  
Podusów. Daniłko Michał, zast.  
Pohorylce. Skotniany Mikołaj, prow.  
Poluchów W. Tustanowski Stanisław, prow.  
Połonice. Chuderski Aleksander.  
Podhajczyki. Malinka Leon.  
Połtew. Nawrocki Władysław, nadet. Nawrocka Maria.

Przegnojów. Baczyński Wacław.  
Rozworzany. Kibało Bazyli, prow.  
Słowita. Muryn Grzegorz, nadet. Bębnowicz Józefa.  
Sołowa. Żdzarska Helena.  
Stanimierz. Jaworowski Józef, tym, nadet. Sawicka Maria.  
Tuczne. Senyia Bazyli, zast.  
Turkocin. Kretów Stefan, tym.  
Uszkowice. Podymowski Ignacy.  
Uniów. Bocmaniuk Jan, prow., nadet. Petryszyn Olga.  
Wojciechowice. Kalinowicz Antonina, zast.  
Wołków. Majdani Emil, tym.  
Wypyski. Kaczorowska Gustawa, zast.  
Wiśniowczyk. Hałajko Grzegorz.  
Wyżniany. Reichert Piotr, zast., nadet. Reichert Waleria, zast.  
Zamoście. Prodziewicz Michał, nadet. Czestyńska Zofia.  
Żeniów. Domańska Olga, zast.

#### **W trakcie organizacji**

Alfredówka. Ołeksów Szymon, zast.  
Czupernosów. Kościelny Piotr.  
Łonie. Krawczyński Adolf, zast.  
Pniatyn. Podkoicz Antoni.

#### **Szkoły prywatne ewangelickie**

Dobrzanica. Wallach Stanisław.  
Unterwalden. Lauferwailer Karol.  
Uszkowice. Mayer Jan.

#### **Szkoła prywatna fundacji hr. Hirscha**

Gliniany. N. k. Tartakower Jakub.

---

*Na portalu [www.onb.ac.at](http://www.onb.ac.at) znajdują się skany „Kuryera Lwowskiego”.  
Z nich wypisałem wydarzenia związane z pow. Przemyślany, a także kilka ciekawostek. Zachowałem oryginalną pisownię.*

### **Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurjerze Lwowskim* (cz. VI)**

Namiestnik przeniósł koncepistę Ludwika Caspare`ego z Cieszanowa do Przemyślan.

Władysław Zatlókał został mianowany starszym nauczycielem w Glinianach. (28.09.1894 r.)

\*\*\*\*\*

Wystawę krajową we Lwowie zwiedziło 160 włościan i dzieci z Czupernosowa.

Komitet wystawy krajowej przyznał srebrny medal Towarzystwu tkackiemu w Glinianach za rozmaite wyroby tkackie. (6.10.1894 r.)

\*\*\*\*\*

110 włościan z pow. Przemyślany pod przewodnictwem Strzałkowskiego zwiedziło wystawę krajową. (8.10.1894 r.)

\*\*\*\*\*

Podziękowanie. Niniejszem składam serdeczne dzięki P. Drowi **Feliksowi Hahn** za wyratowanie mojego dziecka z ciężkiej słabości cholery, którą podobało się Najwyższemu Panu nawiedzić moją rodzinę i który bezinteresownie zajął się szczerze jego wyleczeniem, co Mu się przy pomocy Bożej szczęśliwie udało. Uniów w powiecie przemysłańskim, dnia 6 października 1894. Wasyl Nud. (14.10.1894 r.)

\*\*\*\*\*

Z Glinian donoszą nam: D. 23. bm. przedstawiony został przez tutejszą młodzież rzemieślniczą i uczniów krajowego warstatu tkackiego, obraz historyczny „Kościuszko pod Racławicami” na dochód założyć się mającej kapeli dla chłopców i ubogiej młodzieży szkolnej. Przedstawienie to odbyło się za staraniem i pod kierownictwem tutejszego katechety, ks. Jana Tarczyńskiego. Przedstawienie wypadło bardzo dobrze, amatorzy grali z werwą i przejęciem, a uroczysta chwila podczas przysięgi Kościuszki, zachwyciła słuchaczy. Do powodzenia tego nie mało przyczyniły się wesołe piosnki krakowskie a niemniej narodowe stroje dla chłopców, które za staraniem pani B. wypożyczyła dyrekcja teatru skarbkowskiego.

Przedstawienie to powtórzono 25 razy i następnie jeszcze 28 bm. powtórzone zostanie. (27.10.1894 r.)

\*\*\*\*\*

Namiestnik przeniósł sekretarza powiatowego, Karola Solarika, z Przemyślan do Rzeszowa. (28.12.1894 r.)

\*\*\*\*\*

Po lustracji wydziałów powiatowych przez Wydział krajowy Przemyślany znalazły się w grupie miejscowości, w których „gospodarka w miasteczkach jest jeszcze zawsze w znacznej części mniej zadawalającą

tak pod względem zarządu majątkiem gminy jak i pod względem wykonywania policji miejscowej”. (5.01.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Groza emigracji. Piszą nam z powiatu przemysłańskiego: W naszym powiecie a także i w sąsiednich jak lwowskim i kamioneckim między ludem wiejskim już od kilku tygodni krążą pogłoski, iż rząd brazylijski ściąga kolonistów, którzy mają chęć osiedlenia się w tym kraju. Ajenci upewniają, że kraj ten jest istnym rajem, gdyż nie ma tam zimy, ziemia bardzo urodzajna, niesłychana obfitość drzewa, zarobek nadzwyczaj wielki, gdyż płacą tam do 3 zł. dziennie robotnikowi, podatków żadnych, że wreszcie nowo przybyłym kolonistom rząd rozdaje ziemię darmo, ile kto zechce. Oprócz tego upewniają ajenci, że wychodźcy do Brazylii dostaną wolną kartę okrętową aż na miejsce, i że rząd zatrudni wychodźców przybyłych przy budowie dróg aż do żniw, za co otrzymywać będą sowitą płacę.

Jest rzeczą wiadomą, że w wschodnich powiatach Galicji dobrobyt włościan pozostawia wiele do życzenia. Grunta włościańskie są już tak podzielone, że gospodarz posiadający 10 do 15 morgów gruntu uważany bywa za bogacza a przeciętnie przyjąć można, że średni gospodarz nie ma więcej jak 5 morgów roli. W dodatku trudno znaleźć grunt włościański, ażeby nie był obdłużony. Niektórzy włościanie są zadłużeni do połowy wartości gruntu a rzadki wypadek, ażeby włościanin nic posiadał żadnego długu, a stopa procentowa od takich długów jest niezwykle wysoka, tak, że rolnik nie jest w stanie z dochodów ziemi opłacić procentów. Dodajmy do tego wysokie podatki, brak zarobku przez większą część roku i klęski nieurodzaju, które od kilku lat ciągle po sobie następują, tak, że i w br. znaczna część włościan uboższych nie ma zboża potrzebnego na zasiewy, to łatwo zrozumiemy, że położenie włościanina stało się nieznośne. To też nie należy się dziwić, że lud wiejski, mając widoki poprawienia swojego losu w Brazylii, gotów jest iść na oślep w nadziei lepszej przyszłości, gdyż w własnym kraju utracił już wszelką nadzieję polepszenia swego bytu. Oprócz agentów zainteresowani są tu także spekulanci, którzy w mętnej wodzie postanowili ryby łowić i zrobić interes w zakupnie gruntów 11 tych włościan, którzy mają zamiar wyjeżdżać.

Starostwo zawiadomiono o ruchu emigracyjnym włościan, poszukuje starannie agentów, którzy lud wiejski obalamują, jednakowoż zdaje się, że dotąd poszukiwania te są bez skutku. Starostwo rozesłało okólnik do



Maria Fr. Rodakowska, *Świrz, część parku zamkowego*, 1922, akwarela papier.

Źródło: M. Białonowska, A. Kalinowska,  
*Irena z Lamezan-Salins Komorowska*.

Publikacja nadesłana przez p. Adama  
Komorowskiego.

duchowieństwa obu obrządków w celu wyjaśnienia tej sprawy, ale włościan nie przekonuje to wcale, gdyż utrzymują oni, że panowie i rząd mają w tem swój własny interes, by niedopuszczać wychodźstwa włościan z kraju.

Zapanował więc między włościanami ruch niezwykły. Niektórzy grunta swoje już sprzedali i wyjechali, a bardzo znaczna ilość gotową jest iść za przykładem pierwszych. Właśnie w tym czasie przybył do naszego powiatu p. Seweryn Wiśniewski, krajowy wędrowny nauczyciel gospodarstwa. Na pogadankach gospodarskich porusza on tę sprawę, opisuje właściwości Brazylii i stosunki tamtejsze w niezbyt różowych kolorach, co na zgromadzonych słucha-

czach robi pewne wrażenie, szczególnie też trafia do przekonania włościan rada, ażeby ci, którzy koniecznie chcą jechać do Brazylii wpierw wysłali dwóch lub trzech zaufanych ludzi z powiatu, którzy by zbadali tamtejsze stosunki i zdali im sprawę ze swego posłannictwa.

Że położenie włościan jest niezwykle ciężkie, to nie ulega żadnej wątpliwości, a dowodem tego są fakta, że gdy włościanom odradzano wyjazd do Brazylii, odpowiadali oni: „Wszystko **jedno czy tu umrzeć, czy tam! To na jedno wyjdzie, my nie mamy nic do stracenia.**” Sprawa ta jest **piekąca i potrzebaby coś radzić. Nie ulega wątpliwości (? Red.), że Sejm zająć się nią zechce jak najspieszniej, bo pomoc jest konieczną, ale musi być doraźną. Z. (30.01.1895 r.)**



\*\*\*\*\*

Kradzież koni. W Poniedziałek tj. 28. bm. w nocy skradziono w Glinianach u gospodarza Stefana Sawczuka Jakimowego troje koni, a to: klaczka średniej miary, 11 lat, kasztanka, całe czoło i pysk, również wszystkie, nogi do kolana i kopyta jasno białe, przez grzbiet pas czerwony, 45 zł. wartości; 1 koń 13 lat, zupełnie czarny, 40 zł. wartości; koń średniej miary, 4 lata, czerwony, na czole gwiazdka biała z wązkim białym pasem aż przez pysk, 60 zł. wartości. Za przytrzymanie da właściciel gotówką 50 zł. (1.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

*Gazeta Narodowa* pisze: „Starostwa w Przemyślanach i Lwowie rozesłały do urzędów parafialnych okólnik ministerstwa spraw zewnętrznych, w którym w czarnych kolorach przedstawione jest położenie emigrantów poddanych austriackich w Brazylii, z poleceniem odczytania tegoż z ambony przez miejscowych kapłanów. Okólnik ten jednak najmniejszego na włóścian nie czyni wrażenia i w niczem ruchu emigracyjnego nie wstrzymuje.”

Celem uzupełnienia tego obrazka przytaczamy parę szczegółów, jakie podaje *Hałyeczanin* w artykule omawiającym interpelację posła Barwińskiego, w tej sprawie w Sejmie wniesioną. „Otrzymaliśmy wiadomość, że z samej Biłki w pow. przemysłańskim wybiera się około 90 rodzin za ocean. Rozumie się samo przez się, że pragnienie emigrowania nie powstało we wszystkich od razu, ale że je wywoływali ajenci. Tymczasem o przytrzymaniu takich agentów nic nie słychać, mimo że w samej Biłce jest posterunek żandarmerji. Co więcej: w okolicy Przemyślan żyje pewien ksiądz łaciński, który powrócił z Ameryki i utrzymuje u siebie prawie publiczną agenturę emigracyjną. Nie wymieniamy miejsca pobytu tego księdza, nie wierzymy jednak, by władze niczego nie wiedziały o jego działalności. Jeżeliby to czynił ksiądz ruski, powstałaby straszna chryja, za którą odpowiedzialoby całe duchowieństwo ruskie.” (3.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Komisja sejmowa zgodnie z Wydziałem krajowym proponuje regulację potoka Przegnojówki (dopływu Pełtwi w pow. przemysłańskim) i regulację środkowej sekcji Gniłej Lipy. (5.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Sejm skierował polecenie do Wydziału kraj., ażeby stabilizował Jana Jurajdę na posadzie kierownika i instruktora fachowego, w na-

ukowym warsztacie tkackim w Glinianach. (10.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Urząd pocztowy w Świrzu otrzyma z dniem 16. bm. zamiast dotychczasowego połączenia pocztowego z Bobrką, połączenie z urzędem pocztowym w Przemyślanach. (13.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Dola uchodźców włościańskich. Podajemy najświeższy, świadkami sprawdzony fakt, jaki się zdarzył niedawno. Włościanie Seńko Petryszyn z Hermanowa, z żoną i trojgiem dzieci, Piotr Heinz z Kurowic z żoną i 4 dziećmi, Michał Pająkiewicz z Kurowic z żoną i dzieckiem, Franciszek Heine z Kurowic i kilku włościan z Puluchowa i z Łahodowa z dziećmi nie mogąc wyżyć na swych drobnych posiadłościach postanowili szukać szczęścia na obczyźnie. Sprzedali więc swoje grunta i udali się do starostwa przemysłańskiego o paszporta, których im jednak odmówiono. Cóż więc mieli robić? Wybrali się bez paszportów w drogę na Wiedeń.

Dnia 17. bm. przybyli o g. 5. rano do Krakowa. Tutaj na dworcu zatrzymała ich policja i odstawiła nasamprzód do restauracji, gdzie komisarz spisał ich nazwiska. Następnie przetransportowano ich na główną policję, gdzie się rozpoczęła rewizja. Mężczyzn rozbierano do naga, przeszukiwano wszystkie odzienia, rozprówano nawet suknie. Odebrano im wszystkie papiery i pieniądze, spisano protokoły i po całodziennem oczekiwaniu wysłano ich napowrót do Lwowa. Podczas przesłuchiwania gospodarzy w policji, kobiety i dzieci stały na dworze wśród mrozu. Dzieci się poprzziębiały a jedno dziecko nawet zmarło. Obecnie biedne te rodziny znajdują się we Lwowie, mieszkają w hotelu brodzkim i czekają zmiłowania bożego. Czegóż się mają chwycić? Są kompletnie zrujnowani - i chyba z kijem żebraczym pójdą w świat. (24.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Dola wychodźców włościańskich. W niedzielnym numerze przedstawiliśmy smutne położenie włościan naszych zatrzymanych w Krakowie. Włościanie ci mieszkają dotąd w hotelu brodzkim i wydają resztę pieniędzy, jaka im została. Rodzinom z powiatu lwowskiego zwróciła policja krakowska zabrane im pieniądze, natomiast pieniądze wychodźców przemysłańskich odesłano do starostwa w Przemyślanach. Włościanie ci, a mianowicie Piotr Heinz, któremu odebrano 30 złr., Franciszek Heinz, któremu odebrano 54 złr. i Michał Pająkiewicz, któremu odebrano 130 złr., udali się dnia 23. bm. piechotą do Przemyślan do Starostwa z prośbą

o zwrócenie im tych pieniędzy. Starosta jednak odmówił im wydania zabranych pieniędzy, przyrzekając natomiast, że zostaną im w drodze urzędowej przesłane. Biedni więc chłopci powrócili napowrót do Lwowa piechotą, gdzie pozostają dotąd bez grosza, tak, iż przyjdzie im chyba odwołać się do dobroczynności publicznej. To zbyt biurokratyczne postępowanie ck. starostwa w Przemyślanach podajemy do wiadomości w nadziei, że kompetentne władze zarządzą natychmiastowe wydanie biedakom ich pieniędzy. Kto jednak im wynagrodzi poniesione straty? (27.02.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Wychodźcy z pow. przemysłańskiego, których z podróży zawrócono do Lwowa (o czym donieśliśmy niedawno), nie mogąc się doczekać obrony od Koła polskiego, gdzie ich sprawę poruszył był poseł Lewakowski, znaleźli podobno sposoby innemi drogami dostać się do Genuy i odpłynąć do Brazylii. Natomiast inne partje włościan, zawrócone jak tamci z drogi, przebywają we Lwowie, niszcząc się do reszty. Koło polskie zajęte sprawami dyplomatycznymi szanownej koalicji, odroczywszy sprawę, ani myśli powrócić do jej traktowania, ale ma czas na bankietowanie i szampanizowanie w interesie synekurzystów i dla „pogłębiania idei koalicyjnej”. (10.03.1895 r.)

\*\*\*\*\*

W Kimirzu, własności



Maria Fr. Rodakowska, *Świrz, część parku zamkowego*, 1922, akwarela papier.

Źródło: M. Białonowska, A. Kalinowska, *Irena z Lamezan-Salins Komorowska*. Publikacja nadesłana przez p. Adama Komorowskiego.

R. Wybranowskiego, wiceprezesa rady pow. w Przemyślanach, chłop nie otrzymawszy paszportu do Brazylii, zostawił swoje dzieci w kuchni dworskiej, ulatniając się z żoną. (4.04.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Z Przemyślan donoszą nam: Między g. a 9. rano spostrzeżono pożar we wsi Przegnojowie, w pobliżu miasteczka Gliniany. W przeciągu trzech kwadransy stanęło w płomieniach 58 budynków mieszkalnych, a pewnie jeszcze raz tyle, jeżeli nic więcej budynków gospodarczych. O jakimkolwiek ratunku mowy być nie mogło. Ludność miejscowa, każdy z osobna, wynosiła ruchomości nad wodę. Wszystko poszło z dymem. Mianowicie część wsi „Zaricze” zwana. Gliniany z obawy przed podobną klęską, która przy panującym wichrze grozi każdej chwili nie mogły dać pomocy jedną swoją siławką, która i tak ni ebyłaby pomogła. Pożar powstał w chacie zamieszkałej przez dwóch braci, niekoniecznie dobrej sławy. Powodu jednak pożaru niedocieczono. Zaledwo kilku gospodarzy było ubezpieczonych. Ponownie upominamy do ostrożności i utrzymywania pogotowia dniami i nocą, dopóki posucha terażniejsza trwa i wiatry. (1.05.1895 r.)

\*\*\*\*\*

W Plenikowie (pow. Przemyśłany) zgorzało 5 zagród, szkoda 4000 złr. nieubezpieczona. (21.05.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Pożar. D. 17. bm. w gminie. Połonicach (pow. Przemyśłany) zniszczył pożar 52 zagród gospodarskich, cerkiew, probostwo i stajnie dworskie p. Hipolita Bochdana. Szkodę w przeważnej części ubezpieczoną, obliczono powyżej 40.000 złr. Czterysta ludzi pozostało bez dachu i chleba. Pożar wzniciły dzieci bez dozoru, bawiące się zapalkami. (23.05.1895 r.)

\*\*\*\*\*

D. 18. bm. pożar w Wiśniowczyku (pow. Przemyśłany), zniszczył 45 zagród włościańskich oraz dom mieszkalny hr. Potockiego. Szkoda 16.000 zł. tylko na 3100 zł. ubezpieczona. Przyczyną pożaru była nieostrożność parobków stajennych, palących cygara w stajni.

Pożary. Z Połonic pow. lwowskiego [pow. Przemyśłany] donoszą nam: D. 17. bm. wybuchł w tutejszej gminie z niewiadomej dotąd przyczyny pożar i w przeciągu pół godziny przy silnym wichrze zniszczył cerkiew, probostwo i 48 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami

i narzędziami gospodarskimi. Bez dachu, chleba i odzieży zostało 55 rodzin, a szkoda przewyższa kwotę 40.000 złr. Straszna ta klęska spowodowała zawiązanie pod przewodnictwem p. Tad. Bohdana, właściciela dóbr w Połonicach, komitet ratunkowy, który uprasza o łaskawe nadsyłanie datków dla biednych pogorzalców na ręce p. Bolesława Sanockiego w Połonicach, o. p. Jaryczów nowy. (28.05.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Pożar. W Przemyślanach 31. zm. o godz. 11 i pół przed południem spaliły się do szczytu zabudowania 12 właścicieli. Większość nieubezpieczona, a reszta bardzo nisko. Straży ogniowej tam nie ma - choć Przemyślany są miasteczkiem powiatowym i siedzibą starostwa. (2. 06. 1895 r.)

\*\*\*\*\*

Stan ziemiopłodów. W okolicy Glinian żyto podobnie jak wszędzie przepadło, pszenice i rzepaki są średnie, jare zboża są dobre, tylko później posiane w przeoranych oziminach są znacznie słabsze. Strąckowe i okopowe są przeważnie mierne, konicze [*koniczyny - przypis J. W.*] gorsze jak trawy na łąkach, gdyż bardzo tępo rosną. (11.06.1895 r.)

\*\*\*\*\*

Dziewczynkę, mającą pochodzić z Podhajczyk, przygarnęła 15. bm. na rogatce Elżbieta Andres, żona zwrotniczego mieszkająca na Bogdanówce we Lwowie. (18.06.1895 r.)

---

Bolesław Kopociński

## Sen kota

W jego śnie nie odnajdziesz dobra ani zła;  
w jego śnie prawda ani fałsz nie goszczą.  
Zakłócanie ładu na nic tu się zda;  
kocie Erynie już się o to troszczą.

W jego śnie nie słyhać teatralnych braw;  
może najwyżej jakiś ptak zakwili.  
Cykadę usłyszysz, gdzieś w poszumie traw,  
a nad ostami trzepoty motyli.

W jego marzeniach zawsze jest niedziela,  
gdy sen nadejdzie, wszystkie troski gasną.  
Więc, kiedy kota masz za przyjaciela,  
warto pospołu choć na chwilę zasnąć.

---

Józef Wyspiański

### **Rozbójnicy wtedy spali**

Pod koniec maja 1944 r. miałem ponad rok i już chodziłem. Mieszkaliśmy wtedy u krewnych, najczęściej u siostry mamy - Marii Mudrak - a rzadziej u kuzynki ojca - Marii Wyspiańskiej. Dom nasz w świrskim Ługu pozostał prawie bez opieki, bo rodzice obawiając się o życie opuścili go prawie półtora miesiąca wcześniej. Stało się tak po przejściu hordy banderowców 11 kwietnia, gdy wracając z drugiego napadu na Hanaczów, upokorzona doznana klęską, dała upust bandyckiej złości, paląc ponad 20 zagród i mordując starsze małżeństwo, Barbarę i Andrzeja Turów. Nasz dom ocalał i jeszcze trzy inne. Od tego czasu jedynie co śmielsi rolnicy jeździli do Ługa uprawiać pole. Tak też postąpił ojciec. Wiele razy nocował w lesie w sąsiedztwie domu, leżąc na wcześniej przygotowanym sągu drewna.

Moimi zabawkami była piłeczka szmaciana, jakiś kolorowy patyczek i niektóre naczynia kuchenne. Gdy tylko ktoś nie domknął drzwi wejściowych zaraz wychodziłem na podwórko, gdzie ulubionym zajęciem było poganianie drobiu znalezionej witką.

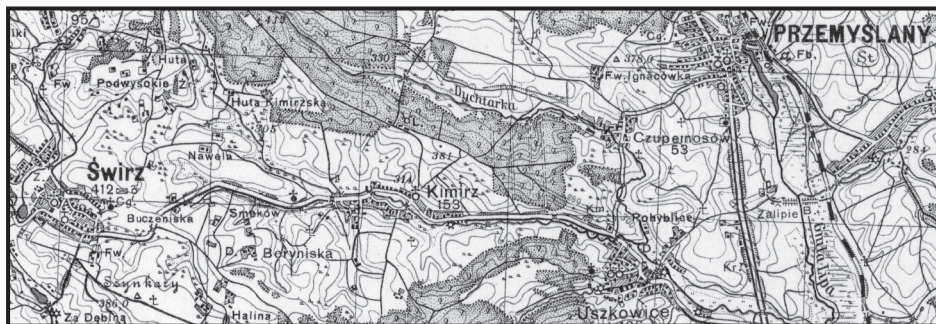
Pewnego dnia nie miałem apetytu i zacząłem płakać z powodu bólu brzuszka – tak o przyczynie stwierdziło rodzinne konsylium. Często bu-



dziłem się w nocy z płaczem. Próbowano mnie leczyć chlebem, bułką, cukrem, miodem, olejem lnianym, ale nic nie pomagało. Coraz dłużej nosiła mnie mama lub leżałem w bambetlu, od czasu do czasu popłakując. Wreszcie ojciec zdecydował się na wizytę u lekarza. W Świrzu lekarza cywilnego nie było. W zamku, gdzie odpoczywali żołnierze i oficerowie niemieccy, lekarz chyba był, ale nie było osoby, która pośredniczyłaby w spotkaniu. Poza tym trzeba było przygotować się na ewentualną zapłatę lekarzowi, a w budżecie rodziny takich pieniędzy nie było.

Do szpitala w Bóbrce była taka sama odległość jak do szpitala w Przemyślanach, ale jak było jechać do jednego czy drugiego miasta, gdy jak okiem sięgnąć łuny potwierdzały palenie polskich zagród, a do Świrza docierały hiobowe wieści o mordowanych Polakach. Ostatecznie ojciec wybrał Przemyślan, bo na drodze do Bóbrki był ogromny las, a w nim mogli czać się banderowcy.

– Pojedziemy do Przemyślan. Pojedziemy wcześniej rano, gdy banderowcy będą jeszcze spali i nas nie zatrzymają – stwierdził tato.



Droga ze Świrza do przemysłańskiego szpitala (12 km) przebyta pod koniec maja 1944 r. przez naszą rodzinę.

Rankiem ojciec zaprzął konia do wozu, na snopku słomy usiadła mama ze mną i tak ruszyliśmy w ryzykowną podróż do miasta. Ze Świrzyka droga wiodła przez Świrz i Kimirz, a przed Uszkowicami ojciec skręcił z głównej drogi i dalej pojechał na skróty, polną drogą, wśród zielonych pól. Tu nie było lasu i szybko dojechaliśmy do Czupernosowa, skąd już było widać Przemyślan. Przez całą drogę mama się modliła o bezpieczny dojazd i o moje zdrowie.

Droga przez miasto, a do celu trzeba było przejechać całą główną

<><><><><><><><><><><><><><><><><><>  
Drogi Józku,  
czyli Instytut Pamięci Świrzowej  
zmienił swoją nazwę i siedzibę.  
Planując następną podróż do Polski,  
będę musiała umieścić Gierałów na  
trasie. Wspomnienia pana Żółtań-  
skiego są jak „Chłopi” Reymonta, na-  
pisane wg pór roku i świat. Opisy przy-  
rody świadczą o wrażliwej, poetyckiej  
naturze autora. Przeczytałam to z  
przyjemnością. Ten świat istniał  
jeszcze w pewnym stopniu w czasach

Widokówka wydawana przez parafię w Przemyślanach. Kto chciałby wspomóc odbudowę kościołów w powiecie przemysłańskim, może wpłacić na konto 62 1240 1444 1111 0010 0830 4659 z dopiskiem – na odbudowę kościołów.

## Informacje

Policja prowadzi czynności w sprawie banderowskich haseł oraz flag, które pojawiły się 23 sierpnia 2024 r. we Wrocławiu, na dzień przed świętem niepodległości Ukrainy. Ściany pomazano hasłem „Sława UPA”, banderowskim zawołaniem lub początkiem pieśni „Bat`ko nasz Bandera”. Według policji słowa propagują faszyzm i czyny takie są zabronione. Podejrzani zostali zarejestrowani przez miejski monitoring. Nie jest wykluczone działanie rosyjskich szpiegów.

+ + + + + + + + +

Bohdan Ohulczański, znany ukraiński pisarz religijny i sekretarz naukowy Uniwersytetu Prawosławnego pw. św. Sofii Mądrości Bożej, zwrócił uwagę na fakt coraz częstszego pojawiania się na krzyżach, kopułach i wieżach prawosławnych świątyń, obcej dla pejzażu Ukrainy dolnej skośnej poprzeczki. Tymczasem taki krzyż jest charakterystyczny dla prawosławia rosyjskiego.

+ + + + + + + + +

W suplice staropolskiej (łac. *supplicatio* - błaganie, prośba) jest

pismo z XVII wieku kierowane do monarchy, który często przebywał w Żółkwi, o treści: Chaim Oronowicz, drukarz żółkiewski, prosił o pomoc w odzyskaniu pieniędzy po zmarłym rabinie ze Świrza, który nie rozliczył się z odebranych ksiązek. ([www.wilanow.palac.pl](http://www.wilanow.palac.pl))

+ + + + + + + + +

W artykule pt. O ratunku od zagłady w zagrodach leśniczówek ([www.komancza.krosno.lasy.gov.pl](http://www.komancza.krosno.lasy.gov.pl)) znajduje się następująca informacja: *Słabo rozpoznana jest historia leśniczego Michała Borejzy (1880-1946) i jego gajowego Michała Żółtańskiego (1896-1988) ze Świrza w powiecie Przemyślany. Pracowali w lasach dóbr generała Roberta hr. Lamezana de Salins. W skrytości przed innymi wskazywali Żydom miejsca bezpiecznego ukrycia się w lesie oraz zaopatrywali ich w żywność i broń.*

+ + + + + + + + +

Dzieje rodziny, wydarzenia, fotografie z naszych Kresów chętnie zamieszczę na stronach „Spotkań Świrzan”. Może to zabezpieczyć od całkowitego zapomnienia lub zniszczenia.

\*\*\*\*\*

**Spotkania Świrzan** - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 176. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: [erjotwulubin@wp.pl](mailto:erjotwulubin@wp.pl). Wydano w Lubinie, VIII 2025 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012